

Varujan Vosganian, Księga szeptów

Rozdziały siódmy i ósmy

Przekład: Joanna Kornaś-Warwas

Wydawnictwo Książkowe Klimaty, Wrocław, 2015

SIEDEM

– Nie tykajcie ich kobiet – powiedział Armen Garo. – Ani dzieci.

Wszyscy członkowie Misji Specjalnej stłoczyli się jeden za drugim w siedzibie gazety „Djagadamard” w Konstantynopolu. Zostali starannie wyselekcjonowani. Następnie z tej grupy wybrano tych, którzy brali wcześniej udział, czy to na własną rękę, czy to w zasadzkach, w podobnych akcjach.

– Mam zaufanie tylko do ludzi, którzy już zabijali – oświadczył Armen Garo.

Otrzymali zdjęcia osób, które należało odszukać. Ich kryjówki mogły znajdować się wszędzie, od Berlina i Rzymu po stepy Azji Środkowej. Talaat Pasza, minister spraw wewnętrznych, o szerokich ramionach i grubej szyi, miał krzepkie ciało, którego głowa, o kwadratowym podbródku, ze szczękami gotowymi rozszarpać, była raczej przedłużeniem jego potężnej klaty. Pięści w dole fotografii, dwa razy większe niż u przeciętnego człowieka, zdradzały agresywność. Obok niego krucha, o delikatnych rysach, jego żona, w białej sukience i koronkowym kapeluszu, według europejskiej mody, tak odmiennym od fezu baszów. Potem Enver, drobny, podwyższony przez wysokie obcasy butów. Wyniosłe spojrzenie i smukłe palce, chwytające końce wąsów, dumny ze swoich szamerunków komendanta wojska, które opadając obficie na ramiona i zakrywając jego wąską klatkę, starały się zamaskować jego skromne pochodzenie syna kobiety, która, aby go wychować, trudniła się jednym z najbardziej pogardzanych zawodów w Imperium – obmywaniem ciał nieboszczyków. Na jednym ze zdjęć jego chude ramię, zaborcze, a jeszcze nieśmiałe, obejmuje delikatną talię żony, Nadjeh, księżniczki haremu imperialnego, a więc córki sułtana. Enver, syn obmywającej nieboszczyków i zięć sułtana, silił się, by sprawiać wrażenie dumnego, o skamieniałym wyrazie twarzy, pomiędzy portretami swoich idoli, Napoleona i Fryderyka Wielkiego. Dżemal Pasza był uważany za

Lepidusa w tym wojowniczym triumwiracie. Z jego pospolitym wyglądem, gdyby nie nosił epoletów ministra marynarki, mógłby przejść niezauważenie, choć starał się dotrzymać kroku Taalatowi w brutalności, a Enverowi w śmiałości. Następnie doktor Nazim i Behaeddin Shakir, ideologowie partii Jedność i Postęp, pomysłodawcy uwolnienia z więzień przestępców, którzy zaciągnięci do oddziałów wojskowych, mieli nadzorować konwoje ludności ormiańskiej, dokonywać krwawych mordów na rozdrożach. Nie wiemy, jak bardzo urodziwe były ich żony, wiadomo, że były pulchne i miały czarne włosy, ale trudno odróżnić ich rysy twarzy, ponieważ jedyne zdjęcia, które się zachowały z czasów ich młodości, przedstawiają je z twarzami okrytymi woalem, płaczące u wezgowia trumien, do których złożono ich mężów po tym, jak grupa sprawiedliwych dopełniła swojej misji. I pozostali, Dżemal Azmi, prefekt Trabzonu Bekhboud Khan Dżavanshir... Armen Garo uniósł fotografie Talaata i Envera z żonami. Spojrzał kolejno na każdego: Solomona Tehliriana, Arama Yerkaniana, Arşavira Şiraghiana, Hraciego Papaziana, Misaka Torlakiana.

– Nie tykajcie ich kobiet – powtórzył. – Ani dzieci.

Nie ma dla nas znaczenia dzień, w którym odbyło się to spotkanie. *Księga szeptów* nie jest książką historyczną, lecz zapisem stanów świadomości. Dlatego staje się półprzezroczysta, a jej strony są przejrzyste. To prawda, że w *Księdze szeptów* jest wiele dokładnych dat, z podaniem miejsca, dnia i godziny. Pióro rusza się bardzo szybko, ale czasami decyduje się zwolnić, czekając na mnie i na czytelnika, a wtedy podaje więcej szczegółów, niż jest to może konieczne. Każde dodatkowe słowo objaśnia, ale właśnie dlatego ujmuje.

Nawet jeśli wymazałbym z niej szeregi lat oraz wszelkie wyliczenia dni, *Księga szeptów* zachowa wszystkie znaczenia. Tego rodzaju rzeczy zdarzały się ludziom zawsze i wszędzie. W rzeczywistości *Księga szeptów* w swojej istocie pozostaje taka sama niezależnie od czasu, jak chorał Jana Sebastiana Bacha, jak wąska brama, przez którą ludzie przechodzą, pochylając się lub tłocząc jedni przy drugich.

– Na samym początku zabili naszego poetę – powiedział Şavarş Misakian.

Siedziba gazety cudem uratowała się przed katastrofą. Skądinąd, dla wszystkich Ormian ze stolicy po masakrach rozpoczętych 24 kwietnia 1915 roku, kiedy aresztowano setki intelektualistów, a większość z nich zabito, odwołanie decyzji o deportacji uchodziło za cud. Wypędzeni z domów i ograbieni ze wszystkiego, co mieli, musieliby podzielić los innych wspólnot ormiańskich, ale doznaliby cięższego

losu, ponieważ w przeciwieństwie do Ormian z Vanu, Sivas i Adany czekała ich wędrówka w konwojach przez całą równinę Anatolii w kierunku Pustyni Syryjskiej. I gdyby nie zostali wymordowani przez oddziały uzbrojonych zbrodniarzy albo bandy koczowników, umarliby z głodu i zimna wewnątrz rozległych prowizorycznych namiotów, na pustyni, gdzie spiekota dnia i mróz nocy dzieliły się po równo ofiarami.

Zakazany w kwietniu 1915 roku centralny organ prasy Armeńskiej Federacji Rewolucyjnej, zwany wtedy „Azadamard”, pojawił się na nowo w 1918 roku pod nową nazwą, która odwoływała się jednak do tej pierwszej: „Djagadamard”. W tamtym czasie, w chwili zakazu, Şavarş Misakian był redaktorem naczelnym i wrócił, aby ponownie objąć swoją funkcję. Siedział w kątce, nie był członkiem Misji Specjalnej, ale miał autorytet niezbędny dla Armena Garo i Şahaga Natali. Autorytet, którego nie nadawała mu postura, bo akurat opadające lewe ramię i przekrzywiona głowa odbierały mu wszelką dumę. Jego ułomność wzbudzała szacunek innych, przypominała bowiem upór, z jakim stawiał czoła torturom w więzieniu wojskowym, gdzie został zamknięty w marcu 1916 roku i gdzie kilka miesięcy później wyrwał się z rąk oprawców, rzucając się na wewnętrzny dziedziniec z trzeciego piętra. Przeżył pomimo ciężkich obrażeń i wyszedł na wolność 27 listopada 1918 roku, w chwili gdy wojska alianckie zajęły stolicę, a jego ciało, z pogruchotanymi kośćmi, wzięło na siebie skrzywienia całego świata, przypominając wszystkim, że wyleczyło się ze strachu przed śmiercią.

Wrogowie wiedzieli, że aby zniweczyć ich naród, muszą przede wszystkim zamordować jego Poetę. Dla zagrożonego i represjonowanego ludu Poeta staje się przywódcą. Daniel Varujan został aresztowany wraz z innymi intelektualistami 24 kwietnia 1915 roku. Przywiązano go do drzewa i ukamienowano, a następnie pozostawiono na pastwę dzikich zwierząt i duchów nocy. Niektóre legendy mówią, że jest żywy i że w czasie pożaru w Smyrnie widziano przez chwilę jego twarz w płonących lustrach. Jedyne, czego możemy dowodzić z tych legend o zmartwychwstaniu Daniela Varujana, jest to, że choć znamy miejsce, gdzie przetrwał męki przywiązany do pnia drzewa, czyli do żywego krzyża, nie znamy miejsca, gdzie został pogrzebany. Mając dowód jego śmierci, a nawet znając nazwisko kata – Oguz Bey, dowódca z Ceanguiri – ale bez wskazania grobu, możemy skłaniać się do myśli o jego zmartwychwstaniu.

Inni spośród aresztowanych 24 kwietnia, jak na przykład dwóch członków parlamentu, deputowany z Konstantynopola Krikor Zohrab oraz deputowany z

Erzurum Vartkes Seringulian, dotarli aż na Pustynię Syryjską, do Urfy a następnie Aleppo. Opowiada nam o nich Roessler, niemiecki konsul w Aleppo, w liście do niemieckiego ambasadora w Wangenheim: „Zohrab i Vartkes *efendi* znajdują się w Aleppo i przynależą do konwoju udającego się do Diyarbakır. Dla nich oznacza to pewną śmierć. Zohrab jest sercowcem, a żona Vartkesa właśnie urodziła”. O zbrodniach popełnionych w czasach dzieciństwa moich dziadków dowiedziałem się wiele nie tylko ze świadectw ocalałych, lecz przede wszystkim z przechwałek morderców. Jakaż różnica między nieśmiałością tych, którzy umierają, i pychą tych, którzy zabijają... Tak więc dowiadujemy się, że zostali przebici bagnetami, czaszkę Vartkesa roztrzaskano ogniem strzałów, a głowa Zohraba została zmiażdżona kamieniami. Potem ich ciała poćwiartowano i porzucono. Gdyby ktoś zadał sobie trud, by pochować licznych zabitych w tamtych dniach, nie byłby w stanie rozpoznać ich po resztkach roztrzaskanych ciał.

Ale świat idzie do przodu. Miejsce, w którym zamordowano Daniela Varujana, nazywa się Tuna. Zanim został zabrany wraz z innymi, poeta powiedział: „Zatroszczcie się o mojego syna, który właśnie się narodził. Niech zostanie ochrzczony jako Varujan”.

– Pomścimy ich i jego też – powiedział Armen Garo, patrząc Şavarşowi Misakianowi prosto w oczy. – Właśnie dlatego nie tykajcie ich kobiet i dzieci. Nie jesteśmy ani złodziejami grabiącymi nieboszczyków, ani zabójcami kobiet.

Siedzieli w pierwszym kręgu.

– Armen ma rację – powiedział Şavarş Misakian. – Bierzcie przykład z Generała Dro.

W lutym 1905 roku Dro nie był jeszcze generałem. Miał zaledwie dwadzieścia jeden lat, gdy w Baku rozpoczęły się masakry trwające przez trzy dni. Kilka tysięcy Ormian zostało zabitych przez bandy tatarskie. A księżę Nakhashidze, gubernator cara, nie zrobił nic, aby chronić ludność ormiańską, pomimo ostrzeżeń i krzyków rozpaczliwych Ormian, ba, dodatkowo dostarczał broń napastnikom. Komitet Centralny Armeńskiej Federacji Rewolucyjnej poinformował gubernatora generalnego Nakhashidze, że partia skazała go na śmierć. Wykonanie wyroku zostało zlecone młodemu Drastamatowi Kanayanowi, którego spotkaliśmy już pod imieniem Generała Dro.

W wyznaczonym dniu Dro czekał na orszak gubernatora na wąskiej uliczce, gdzie straż jeźdźców kozackich nie mogła eskortować księżęcej kolaski. Bomba

została umieszczona w woreczku i przykryta kiśćmi winogron. Ale widząc, że księżę jest w towarzystwie żony, Dro zawahał się i ostatecznie zrezygnował, zadowolając się jedynie obejrzeniem jego przejazdu. Czekał aż do zmierzchu. W drodze powrotnej w kolasce był tylko księżę. Gdy konwój znalazł się tuż przed nim, Dro cisnął woreczkiem w powóz i rzucił się do ucieczki. Eksplozja była straszna. Wraz z Nakhashidze przemieniła w pył jeszcze kilku jeźdźców straży rządowej. Wykorzystując chwilę paniki, Dro zdołał zniknąć i jeszcze tej samej nocy kilkoro przyjaciół pomogło mu przekroczyć granicę turecką. Gdzie pozostał przez dziewięć lat aż do wybuchu wojny.

– Ale wtedy Dro nie mógł wyobrazić sobie tego, co dopiero miało się zdarzyć – powiedział Arşavir Şiraghian.

Nikt nie mógł sobie tego wyobrazić. Armeńscy przywódcy wspomagali Młodoturków w dojściu do władzy, sądząc, że położą oni kres potwornościom krwawego sułtana Abdula Hamida. Vartkes *efendi*, przyszły deputowany Erzurum, ukrywał w swoim domu w czasie kontrrewolucji Halila Beya, tego samego, który później rozkaże go zabić. Dro uznał, że kobieta nie powinna płacić za grzechy męża, trzydzieści lat później Stalin postanowi zgładzić w Omsku jego żonę wraz z jednym z ich synów, aby zapłaciła za czyny męża.

– W Trabzonie – powiedział Misak Torlakian – kilkaset kobiet, wraz dziećmi i starcami, którzy nie mogli iść, zostało wsadzonych na tratwy i wypłynęło na szerokie morze. W całym tym nieszczęściu kobiety cieszyły się, gdy im powiedziano, że część drogi odbędą na wodzie, unikając w ten sposób dodatkowego zmęczenia. Ale następnego dnia tratwy wróciły na brzeg puste. Kobiety zostały utopione w morzu. To samo zdarzyło się w Unieh, Ordu, Tripoli, Kerasondzie i Rize. Żadna kobieta z mojej wsi Ghiuşana nie dotarła w konwoju do Meskene, Rakka, Ras ul-Ayn albo Deir ez-Zor, co oznacza, że wszystkie zginęły w drodze z głodu, od kuli lub noża.

– W wilajecie Harput – powiedział Salomon Tehlirian – w czerwcu, zostali zamordowani notable, a następnie z wiosek i miasteczek zabrano mężczyzn. Konwoje składały się wyłącznie z kobiet, starców i dzieci. W Arabkir kobiety zostały załadowane do łodzi, a potem utopione. Ormiańskie dzieci z niemieckich sierocińców utopiono w pobliskim jeziorze. Kobiety z Mesne, które wyruszyły w kierunku Urfy, zostały zamordowane w drodze, a ich ciała wrzucono do rzeki. Na drodze pomiędzy Sivas i Harput okaleczone, zmasakrowane ciała kobiet na wschodnim brzegu Eufratu leżały miesiącami na poboczach dróg lub urwiskach. Było ich zbyt wiele, by je

pochować. Ich szkielety widziało się jeszcze w połowie 1916 roku. Z blisko dwustu tysięcy dusz, które liczyły konwoje, zaledwie jedna dziesiąta dotarła do Ras ul-Ayn i Deir ez-Zor.

– Pierwszymi kobietami, które przybyły do Meskene, Rakka i Deir ez-Zor – powiedział Aram Yerkanian – były zwłoki pływające w Eufracie. Przez cały czerwiec 1915 roku Eufrat wypełniony był trupami napęczniałymi od wody, masą głów, rąk i nóg. Wody rzeki były czerwone, wszystko wyglądało tak, jakby wtedy narodziła się śmierć.

Krań tych, którzy składali świadectwa, poszerzał się.

– Zwłoki pływają nieustannie w wodach Eufratu – powiedział Roessler, niemiecki konsul w Aleppo. – Wszystkie ciała są związane w ten sam sposób, po dwa plecami do siebie. Co dowodzi, że nie są to przypadkowe zabójstwa, ale generalny plan zagłady zaprojektowany przez władze. Martwe ciała płyną w dół rzeki, coraz liczniejsze. Przede wszystkim kobiet i dzieci.

– Ponad sześćset Ormian – powiedział Holstein, niemiecki konsul z Mosulu – w większości kobiet i dzieci wypędzonych z Diyarbakır, zostało zamordowanych podczas transportu na rzece Tygrys. Wczoraj do Mosulu przybyły puste tratwy. Od kilku dni w rzece pływają trupy i członki ludzkich ciał. Kolejne konwoje są w drodze i prawdopodobnie czeka je ten sam los.

– Przez Aleppo – powiedział Guys, były konsul Francji – przechodzą od początku maja konwoje, tysiące ludzi. Po dwóch lub trzech dniach pobytu w miejscach specjalnie dla nich przygotowanych ci biedacy, głównie kobiety i dzieci, otrzymują rozkaz, by udać się do Idlib, Mâna, Rakka, Deir ez-Zor, Ras ul-Ayn, w stronę pustyni Mezopotamii, do miejsc, które w przekonaniu wszystkich są przeznaczone na ich grób.

– Tysiące ormiańskich wdów z wilajetu Wan – powiedział Jackson, amerykański konsul w Aleppo – którym nie towarzyszy żaden dorosły mężczyzna, zbliżają się do miasta, w opłakanym stanie, półnagie. Konwoje te, jak i pozostałe dziesięć – dwadzieścia grup, które już przeszły, składają się z pięćset do trzech tysięcy osób, ciągnących za sobą swoje dzieci w stanie nieopisanej nędzy.

I znowu Roessler:

– W sprawie Ormian z Harput doniesiono mi, że w wiosce usytuowanej na południe od miasta, mężczyźni zostali oddzieleni od kobiet. A następnie

wymordowani i porzuceni na poboczach drogi, którą te kobiety były zmuszone przebyć.

– Można by pomyśleć – stwierdził Aram Andonian, który zebrał świadectwa ocalałych – że te kilkaset dzieci z sierocińca w Deir ez-Zor nigdy nie istniało.

Dopiero pod koniec akcji i prawie na krańcu drogi władze uznały, że znalazły rozwiązanie problemu, który wcześniej wydawał się nierozwiązywalny: jak zabijać, nie pozostawiając martwych ciał. Nie dlatego że wywoływało to poczucie winy, ale dlatego że setki tysięcy poćwiartowanych ciał, ze szerniącą skórą na kościach, unoszące się na wodzie lub leżące na dnie przepaści, oprócz tego, że ich widok napawał przygnębieniem i przygotowywał na śmierć konwoje, które nadchodziły po nich, utrudniały jednak ruch na drogach i torach kolejowych, zażółcały i obciążały powietrze wyziewami śmierci, wzbudzały protesty Arabów, którzy nie mogli już używać wody do picia, rzeki bowiem niosły epidemię. Aby pozbyć się tych wszystkich niedogodności, wymordowanie dzieci z Deir ez-Zor musiało być zbrodnią doskonałą.

Sieroty zebrane z Meskene i innych miejsc, gdzie zostały utworzone obozy dla uchodźców, zostały przegnane przez pustynię w kierunku Deir ez-Zor. Wyobraźcie sobie konwój setek oszpeconych dzieci, okrytych łachmanami, słaniających się na bosych stopach od spiekoty lub zimna pustyni. Nagie ramiona pokryte krwawiącymi ranami, w których roiło się od robaków. Dzieci poganiane przez jeźdźców, którzy bili je batem lub kijem. Martwe lub umierające wrzucano na wozy, które towarzyszyły konwojowi. Miejsce, do którego zdolali dotrzeć, nazywa się Abuhahar. Niewiele ponad trzysta dzieci było w stanie utrzymać się na nogach, resztę, znacznie więcej, transportowano wozami. U podnóża gór, na granicy pustyni, żołnierze zatrzymali konwój i rozładowali wozy. Następnie otoczyli je, czekając, aż zapadnie wieczór. A po zmroku przybywały ptaki pustyni. Przyciągane zapachem krwi, inne lotem pozostałych, a przede wszystkim wrzawą skrzeków i trzaskiem ludzkiego mięsa odrywanego od kości, sępy i kruki rzucały się na ciała, które nawet jeśli jeszcze były żywe, nie miały siły się bronić. Ptaki celowały szczególnie w oczy, policzki i usta, tym bardziej nęcące, im bardziej ubywało ciała. Przez dwa dni ptaki krążyły, chmarami, nad tamtym wychudzonym polem u podnóża gór, a dzieci zostawiono na pastwę dziobów oraz czarnych i stalowych szponów. Tę historię opowiadali przerażeni arabscy nomadzi. A człowiek, który dowodził żołnierzami, kapral Rahmeddin, został awansowany, stając się niespodziewanie szybko dowódcą żandarmerii Rakka.

Pozostałe dzieci, które leżały chore i głodne w sierocińcu Deir ez-Zor, pewnego mroźnego grudniowego dnia załadowano na wozy. Umierających wrzucono do Eufratu; rzeka, taka wzburzona jak w tamtej porze roku, pochłaniała szybko wysuszone ciała. Po dwunastogodzinnej drodze przez pustynię, bez jedzenia i wody, dowódca konwoju, o którym wiemy, że nazywał Abdullah, ale lubił, jak nazywano go Abdullah Pasza, znalazł trzy różne sposoby eksterminacji dzieci. Ale ponieważ wyczuł w oczach żołnierzy odrobinę wahania, uchwycił dwuletniego chłopca i pokazał go im, mówiąc: „Nawet to dziecko oraz wszystkie pozostałe w podobnym wieku trzeba zabić bez litości. Nadejdzie taki dzień, kiedy dorosną, odszukają tych, którzy zabili ich rodziców, i będą chcieli ich pomścić. To jest sukinsyn, który pewnego dnia odszuka nas, by zabić!”. I zamachnąwszy się nim kilka razy w powietrzu, z wściekłością cisnął ciałem o kamienie i zmiażdżył, nim dziecko zdążyło jęknąć.

Część wozów ustawili obok siebie, stłaczając w nich tyle dzieci, ile tylko mogło się zmieścić, a w środku umieścili wóz wypełniony materiałem wybuchowym, który, jak tylko podpalono lont, wyleciał w powietrze, przemieniając wszystko po prostu w sadzę. Te, które nie były już w stanie iść, układali na polu, przykrywali suchą trawą nasączoną olejem, a następnie podpalali. Pozostałe, które nie zmieściły się do wozów, wepchnęli do jaskiń, a otwory zatkali chrustem i trawą, dymem dusząc dzieci i zostawiając ich sine i zwęglone ciała w grotach.

Ale nawet najdoskonalsza zbrodnia nie może być absolutnie doskonała. Dziewczynka imieniem Ana schroniła się w kącie jaskini, gdzie przez szczelinę w skałach zdołała łyknąć odrobinę powietrza. Przeżyła i gdy ogień zgasł, po jednym dniu i jednej nocy wyszła. Tułając się przez kilka tygodni, dotarła aż do Urfy, gdzie znalazła kilku ormiańskich uchodźców i opowiedziała im o rzezi niewiniątek.

A z trzeciego kręgu słyhać głos Dżemala Paszy, ministra marynarki, zaniepokojonego dużą ilością trupów pływających po Eufracie. I oburzonego, że trasy konwojów mogą zakłócić ruch na kolei. Wtedy władze tureckie zrozumiały, że system eksterminacji Ormian, choćby nie wiadomo jak perfekcyjnie pomyślany, miał jednak wadę: pozostawały po nim zabite ciała ofiar. Niedoskonałość, którą Reshid Pasza, prefekt z Diyarbakiru, próbował naprawić najlepiej, jak tylko potrafił:

– Eufrat nie ma prawie nic wspólnego z naszym wilajetem. Pływające po rzece zwłoki pochodzą prawdopodobnie z wilajetów w Erzurum i Harput. Ci, którzy umierają tutaj, są wrzucani w głąb jaskiń lub najczęściej oblewani benzyną i paleni. Rzadko udaje się znaleźć wystarczająco dużo miejsca, aby ich pogrzebać.

Wracamy do pierwszego kręgu.

– Nie widzieliście miejsc, gdzie spotykały się ponownie konwoje – powiedział Hraci Papazian – a raczej to, co z nich zostało. W Deir ez-Zor. Tysiące namiotów zrobione ze szmat. Nagie kobiety i dzieci tak osłabione głodem, że ich żołądki nie przyjmowały żadnej żywności. Grabarze rzucali na wozy, na jedną kupę, martwych i umierających, aby nie tracić czasu. W nocy, dla ochrony przed zimnem, ci jeszcze żywi przykrywali się ciałami zmarłych. Dla matek najlepszą rzeczą, jaka mogła się im przydarzyć, to pojawienie się jakiegoś Beduina, który zabierał im dziecko, aby pozbawić je tego ogromnego grobu. Czerwonka powodowała duchotę. Psy rozgrzebywały pyskami otwarte brzuchy umarłych. Tylko w październiku 1915 roku przez Ras al-Ain przeszło ponad czterdzieści tysięcy kobiet strzeżonych przez żołnierzy, bez żadnego mężczyzny w pełni sił pośród nich. Kruczata umęczonych kobiet. Cała droga wzdłuż torów kolejowych była usłana rozprutymi zwłokami zgwałconych kobiet.

– Spośród miliona ośmiuset pięćdziesięciu tysięcy Ormian żyjących w Imperium Osmańskim – powiedział pastor Jahannes Lepsius – około milion czterystu tysięcy zostało deportowanych. Z pozostałych czterystu pięćdziesięciu tysięcy około dwustu tysięcy uszło przed deportacją, zwłaszcza populacja z Konstantynopola, Smyrny i Aleppo. Posuwanie się naprzód wojsk rosyjskich uratowało życie pozostałym dwustu pięćdziesięciu osobom, które uciekły do Armenii rosyjskiej, część z nich zmarła na tyfus lub z głodu. Pozostali ocalili życie, ale na zawsze utracili swoje ojczyste miejsca. Spośród deportowanych prawie półtora miliona Ormian zaledwie dziesięć procent dotarło do Deir ez-Zor, końcowego punktu konwojów. W sierpniu 1916 roku zostali wysłani w kierunku Mosulu, ale mieli umrzeć na pustyni, połknięci przez piasek lub stłoczeni w jaskiniach, zmarli i umierający razem, a następnie podpaleni.

Milczeli. Kręgi zacieśniły się wokół Armena Garo. Spojrzał na Şahana Nataliego, Şavarşa Misakiana, a następnie na wszystkich pozostałych. Wziął fotografie i rozdał je tym, którzy tworzyli pierwszy krąg, każdemu według jego misji.

– A jednak – powtórzył znużony – nie tykajcie kobiet i dzieci.

Miejsce, w którym żyli, wydawało się ormiańskim starcom mojego dzieciństwa przypadkowe. Niektórym także czas, w którym żyli, wydawał się przypadkowy, tylko że czas trudniej oszukać. I właśnie dlatego czas, wyzierając ze stron albumów ze

zdjęciami, ze starych ubrań lub spod pach, skończył, przemieniając kolejno każdego z nich w przypadek.

Miejsce było więc tylko konwencją, od której, gdy okoliczności nie są zbyt ciężkie, można abstrahować. Moi starcy byli zafascynowani rozległymi przestrzeniami. Rozmawiali tak, jakby mogli być jednocześnie w kilku miejscach. To prawdopodobnie pomogło im przetrwać, gdy przetrwanie zdawało się rzeczą najtrudniejszą z możliwych, ale też umrzeć, kiedy już nic nie dało się zrobić.

Moi dziadkowie mieli jednak w tym względzie różne postawy. Dziadek Setrak, ojciec mojej matki, wydawał się nigdy nie nudzić. Jego starszy brat Harutiun umarł od ścięcia szablą na jego oczach, co dało mu okazję, by uciec i ocalić życie. Zważywszy, że ktoś inny umarł za niego, uważał, że w pewnym sensie jego życie nie było jego lub było jego tylko w połowie, czymś w rodzaju pożyczonego życia. Ponieważ ktoś inny umarł, aby on mógł żyć, spłacał ten dług, żyjąc z kolei dla innych. Żył dla swoich córek, Elizabety, mojej matki, i Maro, której dał imię swojej siostry pochowanej w bezziemnym grobie z wód Eufratu. Żył, aby dawać prezenty biednym dzieciom, aby uposażyć przed ślubem młodych chłopaków ze swojego sklepu, aby ubierać ubogich i żywić głodnych. Dawał jedzenie ormiańskim jeńcom z armii radzieckiej, zatrzymanych w kraju i zmuszonych do pracy za rządów Antonescu. Obrywał w twarz pod rządami legionistów pod pretekstem, że jest Żydem, i tylko krzyżyk, który nosił na szyi, uchronił go przed większymi problemami. Obrywał w twarz po utworzeniu rządu komunistycznego pod pretekstem, że jest legionistą, i tym razem krzyżyk, który nosił na szyi, w niczym mu nie pomógł, wręcz przeciwnie. Ale jak mówi Księga Koheleta: „wyrzucić swój chleb na powierzchnię wód – a przecież po wielu dniach odnaleźć go możesz”, jeden z więźniów ormiańskich, nad którym kiedyś się ulitował, teraz pojawił się w mundurze oficera Armii Czerwonej, tak więc zaczerwienie na spoliczkowanej twarzy i konfiskata sklepów były całym złem, które mu się przytrafiło, komuniści zostawili mu jeden z jego domów, okazując mu w tym względzie wyrozumiałość, że nie posłali go do więzienia jako wyzyskiwacza, za jakiego uchodził. A że nie można było udowodnić, iż kogoś wyzyskiwał, to inna sprawa, ale komuniści nie bawili się w takie subtelności. Wystarczyło, że moja babcia nosiła futra, że dziadkowie mieli fortepian w domu, a latem jeździli do uzdrowiska w Olănești, wisienką na torcie było zaś to, że mój dziadek organizował w niedziele, w ogródku u Paży, potańcówki z muzykantami. Gdy został nocnym stróżem liceum Frații Buzești w Krajowej dziadek Setrak miał wystarczająco dużo czasu, aby

rozmyślać nad tym wszystkim podczas bezsennych nocy. Dokładnie jak wtedy, gdy otrzymał zawiadomienie w 1942 roku, że zostanie internowany wraz z całą rodziną oraz ze wszystkimi nansenowskimi bezpieczeństwaściami do obozu w Târgu Jiu. Rozporządzenie zostało odwołane, a babcia wyjęła z kufrów grube ubrania i ciepłe wełniane skarpety swoje i swoich dwóch córek, ale zachowała w drewnianej walizie te należące do dziadka Setraka, który po tym, jak omal nie został internowany do obozu, miał teraz zostać zaciągnięty do wojska. Pożegnał się z rodziną i udał się do Bukaresztu wiosną 1944 roku, gdzie jego kariera żołnierza wojska rumuńskiego, podobnie jak pozostałych rekrutów kompanii nansenowskiej, trwała dokładnie trzy dni. Jak pomieściły się kupieckie maniery w żołnierskich butach i zapiętych po samą szyję haftkach, historia nam nie mówi. Kompania odbyła dwa dni szkoleniowe, a trzeciego dnia, nocując w koszarach w okolicy Dworca Północnego, zastosowała tę wiedzę po raz w pierwszy w praktyce, oglądając z naprzeciwka bombardowanie dworca. Z koszarami w nieładzie, z rekrutami, roslymi i nieporadnymi, skłonnymi bardziej do przehandlowania wojskowej odzieży niż korzystania z niej na wojnie, apatrydo-rumuńska kompania, złożona z rekrutów ormiańskich, rozwiązała się sama z siebie. Ormianie zaś rozpierzchli się, widząc, że nikt nie wydaje rozkazu, by się gromadzić.

Tak więc mój dziadek Setrak, przechodząc w ciągu zaledwie kilku lat przez tak różne stany, bogacąc się i ubożając, będąc kolejno policzkowanym, użydowionym, internowanym do obozu, zwerbowanym i zdemobilizowanym, ponownie spoliczkowanym, uburżuazyjnym, odburżuazyjnym, miał wszelkie powody, by uważać ten świat za niezrozumiały. A kto sądził, że świat jest inny niż niezrozumiały, w opinii mojego dziadka nie rozumiał nic. I aby pokazać, jak absurdalny jest świat, dziadek udowodnił to jednoznacznie na przykładzie, który miał w zasięgu ręki, a mianowicie na własnej śmierci. Najpierw pozwolił się potrącić przez samochód, gdy szedł z Piața Veche, przed fontanną Purcicaru, potem spadł na głowę z dachu swojego domu przy ulicy Barați 4, gdy próbował naprawić dach. Udało mu się dopiero za trzecim razem, kiedy umarł z zimna, zimą 1985 roku, dlatego że komuniści oszczędzali na gazie, a więc zakręcili go na kilka dni, i aby oszczędności były jak największe, robili to właśnie wtedy, gdy mrozy były najsrozsze.

Jak na człowieka, który tak wiele razy przeszedł obok śmierci, nic nie wydawało się bardziej absurdalne niż umrzeć z powodu oszczędności gazu czynionych przez państwo komunistyczne. Dziadek Setrak odszedł z tego świata z

pogodnym wyrazem twarzy. Został pochowany na cmentarzu katolickim w Krajowej, nie dlatego że był katolikiem, lecz by sprawy pozostały w dalszym ciągu niezrozumiałe.

Dziadek Garabet uważał, dla odmiany, że wszystko na świecie ma sens. W przeciwieństwie do dziadka Setraka, który lata przeznaczone na szkołę spędził w sierocińcach i na naukach rzemiosła, dziadek Garabet skończył liceum rolnicze w Konstantynopolu, co na początku XX wieku miało niemałe znaczenie. Wiedział wiele, był pomysłowy i pilny w nauce, której nie zamieniłby za nic w świecie, ku rozpaczy mojej babci Arşaluis, na kupiectwo. W następstwie tego, podczas gdy dziadek Setrak gromadził na handlu kawą, oliwkami, kakao i rodzynekami pieniądź do pieniądza, dziadek Garabet był zawsze na skraju bankructwa. A raczej byłby, gdyby Sahag Şeitanian, jego kumoter, zostawił go samemu sobie. Ale nieustanne trwanie w upadłości nie było jego jedynym rzemiosłem. Dziadek Garabet był psalmistą w kościele, skrzypkiem, czytającym partytury, motocyklistą, kaligrafem, fotografem, malarzem, profesorem muzyki i języka ormiańskiego, portrecistą, hafciarzem i okazjonalnym muzykantom, czyli wykonywał wszystkie zawody, które nie pachniały groszem. Koniec końców mój lud w jego porachunkach ze światem był kwita: dziadek Setrak gromadził, dziadek Garabet trwonił. Komunizm wyrównał sprawy: dziadek Setrak nie miał już jak gromadzić środków, a dziadek Garabet nie miał już nic do roztrwonienia.

Jako że dla dziadka Garabeta część rzeczy doczesnych, które można było przeliczyć na pieniądze, była bez znaczenia, jego życie nie zmieniło się znacznie wraz z nadejściem komunistów. W rzeczywistości życie Ormian w Fokszanach nie zmieniło się wiele w porównaniu do tego, co robili wcześniej. Zegarmistrz pozostał zegarmistrzem. Szewc szewcem. Kto był sprzedawcą towarów kolonialnych, nadal sprzedawał towary kolonialne. Dzwonnik pozostał dzwonnikiem, lekarz lekarzem. I oczywiście ksiądz również nie zrzucił sutanny. Nawet jeśli ich rzemiosła pozostawały te same, to jednak rzemieślnicy cierpieli. Ponieważ mechanizmy naprawiane przez zegarmistrzów zmieniły się ze szwajcarskich na rosyjskie, lakierowane trzewiki i pantofelki na obcasie z paskiem ustąpiły miejsca butom, które naprawiano nieustannie aż ich podeszwa stawała się grubsza niż kapka. Sklepy ze słodyczami nadal istniały, ale z półek zniknęły delikatesy takie jak lokum, chałwa sezamowa, leblebi, pudełka kakao Van Houten, torebki z kawą, kandyzowane owoce tropikalne, migdały w czekoladzie; w zamian pojawiły się produkty mączne powlekane tłuszczem, twarde

wafelki neapolitańskie i bardzo suche ciastka, od których odpadała krusząca się masa. Tylko kawałki lodowatego cukru, schwyciwszy czasami wiązkę światła, zachowywały drobny i uparty błysk dawnego blasku. Der Dadjad Aslanian zakasał sutannę i przy pomocy Arşaga, dzwonnika, ukrył w kryptach stare książki i skarby kościelne. Wyciągnęli je ostrożnie dopiero po kilku latach, a na końcu wyjęli najcenniejszy skarb, srebrnego ptaka, z którego dzióbka skapywało do wody na chrzest krzyżmo, uzupełniane co siedem lat, z oleju konsekrowanego w 301 roku przez samego Grzegorza Oświeciciela. Dzwon był bardziej milczący i zamyślony. Arşag wspinał się na wieżę dzwonnicy nie po to, by ciągnąć za linę, lecz by porozmawiać z dzwonem, który odpowiadał mu ciszą o różnej intensywności, jak organy, przez których rury nie grasz, lecz oddychasz. Następnie, aby spojrzeć przez okienko na południową stronę, nie dość szerokie, by wystawić przez nie lufę pistoletu, ale na tyle wysokie, aby dojrzeć kraniec miasta i to, czy aby nie nadchodzą Amerykanie. W okienku wychodzącym na południe Amerykanie się nie pojawili, dla odmiany przez okienko od północy zobaczył Rosjan przybywających drogą od strony Tecuci. A dziesięć dobrych lat potem, w czasie których okienko południowe pozostało milczące, Arşag ponownie przez okienko północne, tym razem w towarzystwie innych członków rady parochialnej, którym pozwolił po kolei rzucić okiem, patrzył, jak wojsko rosyjskie odchodzi tą samą drogą w stronę Tecuci. Było jednak za późno, czerwone flagi zapuściły korzenie, a ich emblematy z sierpem i młotem zrosły się z tynkiem tak, że nie dało się ich wyrwać z frontonów, tylko wraz ze ścianą. Jak trafnie zauważył Sahag Şeitanian, spędziwszy więcej czasu niż inni z okiem przyklejonym do okienka: „Abyśmy mogli się wyzwolić, to nie oni powinni odejść, a my zostać, lecz odwrotnie”. To był mglisty poranek, który nastąpił po deszczowej nocy, żołnierze rosyjscy zniknęli szybko, ziemia ubłocila ich buty, tak więc nie pozostawili za sobą nawet pyłu.

I lekarze pozostali lekarzami, ale jak to bywa na każdej wojnie, gdy już pochowali masowo ludzi zagłodzonych, wykrwawionych od ran, dygocących od tyfusu i zapłakanych z wcześniej wymienionych powodów, teraz nie radzili sobie z narodzinami dzieci, które w wywróconym na opak świecie, gdzie słońce zachodziło na wschodzie, rodziły się już stare.

Więc mój dziadek Garabet dystansował się po równo w stosunku do wszystkich. Chciał zrozumieć świat i uznawał go za powtarzalny, pozwalał, aby modele żyły zamiast niego. Wzorem cierpienia był dla niego mnich Komitas, którego z wiekiem zaczął coraz bardziej przypominać, tak że widząc po raz pierwszy

pośmiertną maskę Komitasa, zachowaną przez mnichów mechitarystów na weneckiej wyspie San Lazzaro, uderzyło mnie niezwykle podobieństwo. Dla mojego dziadka ojciec Komitas był prawdopodobnie nie tylko modelem cierpienia, lecz także modelem szaleństwa.

Często siedział w bezruchu i mruzczał coś do siebie pod nosem. Nie wiedzieliśmy, co mówi, babcia nie pozwalała nam zbliżyć się do niego. Te strony pozostały białe w *Księdze szeptów*. Innym razem zamykał się na klucz w swoim pokoju i śpiewał. Miał głos barytonowy, który wzrastał zdecydowanie do wysokich dźwięków tenorowych, dokładnie tak jak głos Komitasa, którym zachwycili się Vincent d'Indy, Camille Saint-Saëns i Claude Debussy. Śpiewał i akompaniował sobie na skrzypcach, forsując smyczkiem kilka strun naraz, tak aby brzmiało to na kwartet.

Komitas został aresztowany także 24 kwietnia 1915 roku, tak jak jego przyjaciele poeci Daniel Varujan, Ruben Sevag i Siamanto. Został przyoddziany w swoją tunikę archimandryty, oprócz kaptura symbolizującego przez czubek górę Ararat, którą noszą od katolików po mnichów przedstawiciele Kościoła ormiańskiego. Kaptur i pelerynę oddał jakimś potrzebującym, którzy szli w konwoju. Zabrano ich samochodami do pobliskiego Ceanguiri. Komitas wmieszał się w tłum, próbując ulżyć cierpiącym, jak tylko potrafił, zachęcając ludzi, aby zachowali wiarę w Boga. W nocy zostawał sam i zaczynał mamrotać. Na początku jego towarzysze podróży myśleli, że się modli, ale nie modlił się, lecz mówił do kogoś, a jeśli tym kimś był Bóg, wtedy te słowa, nietypowe dla mnicha, zdawały się karcące. Były jak rodzaj odwróconych psalmów. Aż pewnego dnia ujrzał kobietę, która miała właśnie urodzić, ale nim zdążył się zbliżyć, jakiś żołnierz rozciął szablą jej wydęty i pulsujący brzuch. Od tamtej chwili Komitas, podobnie jak Andriej Rublow pięć wieków wcześniej wobec okrucieństwa Tatarów, zaniemówił. Potem przemówił jeszcze tylko raz, inni myśleli na początku, że to żart, ale potem uświadomili sobie, że ojciec Komitas postradał zmysły. Zatrzymał się i powiedział do swoich towarzyszy z konwoju: „Nie spieszcie się! Pozwólcie żołnierzom, by nas wyprzedzili...”. Gdy Daniel Varujan miał zostać zabrany i zabity, głos Komitasa usłyszano po raz ostatni. Właściwie nie mówił, lecz śpiewał. Najpierw psalmy, „Wybacz mi, Panie!”, ale głosem tak szorstkim, jakby oczekiwał, że to Bóg będzie prosić nas o przebaczenie, a następnie pieśń *Grunk, Żuraw*. A kiedy skończył, wybuchnął śmiechem. Całą noc słyszeliśmy jego spazmatyczne wybuchy śmiechu, zachrypniętego, nerwowego, jak zbutwiała tkanina, którą drzesz i drzesz, składając na pół, aby zacząć ponownie. Wielu z nich, w tym Daniel Varujan i Siamanto, zostało

zamordowanych. Oguz Bey, nie wiedząc, co mógłby zrobić z archimandrytą Komitasem, wysłał go w końcu z powrotem do Konstantynopola. Znał się na zabijaniu ludzi padających do jego stóp lub szukających ucieczki, zabijał ludzi, którzy się modlili, błagali, płakali lub przeklinali, ale nie potrafił zabić człowieka, który się śmiał.

Komitas zaś śmiał się nieustannie. To był niespotykany śmiech, który brał na siebie łyżę wszystkich cierpiących, ale onieśmiał morderców: ten śmiech pokazywał, że w Komitasie nie pozostało już nic do zabicia.

Nigdy już nie odzyskał zdrowia. Znajomi wysłali go do Paryża, do sanatorium. Umarł dwadzieścia lat później, a śmiech i łyżę pogodziły się na jego pośmiertnym obliczu. Jego twarz jest spokojna, podobnie jak twarz mojego dziadka, jak gdyby śmierć była odpoczynkiem, jakbyś oparł się o cembrowinę orzeźwiającej studni i zaglądał do środka.

Dziadek Garabet śpiewał *Żurawia*, utwór, który mówił o ziemiach ojczystych, ale potem nie wybuchał śmiechem tylko milczał. Wiem, co robił, bo pozostawiał ślady na płótnie, śmiech mojego dziadka składał się z kolorowych farb, rozprawdzał je, bez ładu i składu, myślałem, pociągnięciem pędzla na płótnie lub bezpośrednio palcem zamoczonym w palecie, lub gdy nie mógł już pohamować wybuchów śmiechu, wyciskał tubkę farby bezpośrednio na płótno. Dominowały czerń i pomarańcz, które dziadek studiował uważnie, to był sposób, w jaki próbował zrozumieć siebie. W swoich wysiłkach, aby zrozumieć świat, dziadek miał na wszystko własne metodologiczne normy. Siebie samego, na przykład, dekodyfikował za pomocą kolorów. Każdy człowiek ma swój ładunek energetyczny. Energia oznacza przede wszystkim światło. Światło jest kombinacją kolorów, po spektrum barw wiadomo, z jak daleka pochodzi, z jakiego ciała emanuje i jaka jest pora dnia. Podobnie dzieje się z człowiekiem, stawiasz przed nim kryształową piramidę i patrzysz na niego: gotowe spectrum. „To ja” – mówił dziadek, oglądając z bliska kartkę poprzecinaną burzliwymi kolorami, dotykając jej nawet, nie tylko po to, aby dostrzec barwy i smukłość linii, ale także gładkość lub szorstkość kreski.

Były to, skądinąd nieliczne, chwile jego zaangażowania. Poza tym oglądał rzeczy cierpliwie i skrupulatnie. Nawet wtedy, gdy jadł, aby zrozumieć naturę jedzenia, przeżuwał każdy kęs licząc do trzydziestu trzech – liczba konieczna do zrozumienia, z jednej strony smaku i sensu każdego pożywienia, z drugiej zaś do dostatecznego rozdrobnienia pokarmu, aby ochronić swój żołądek. Mówiąc wprost,

ten punkt oddalony tak samo od pozostałych, był na równi oddalony od niego samego. Patrzeć na siebie z taką samą ciekawością i takim samym dystansem, z jakim badasz drzewa w ogrodzie lub chronologię wojny, z miejsca, z którego wszystko może być postrzegane z zewnątrz, jest również rodzajem szaleństwa. Tylko że jak widać, dziadek odnalazł swój model cierpienia w ojcu Komitasie, ale nie po to, by go naśladować, lecz by stanowić jego odbicie. Podczas gdy szaleństwo ojca Komitasa pochodziło od wewnątrz, szaleństwo dziadka Garabeta stało ponad rzeczami.

„Dlatego – twierdził mój dziadek, który uważał, że świat istnieje tylko po to, by zostać zrozumianym – gdy uczysz się na pamięć, gdy stajesz się tak przewidywalny, że możesz recytować siebie z pamięci, jak wiersz, od początku do końca, ba, nawet rymując, pora umierać”.

Jeżeli idąc przez ten świat, dziadek Garabet Vosganian był tym, który rozumiał, a dziadek Setrak Melikian tym, który nie rozumiał, to mój ojciec chrzestny Sahag Şeitanian był tym, który doświadczał męki. I jeśli dla dziadka Garabeta pierwsze zrozumienie, to znaczy autozrozumienie, przychodziło ze spotkania z krzyżującymi się barwami, a dla dziadka Setraka niezrozumienie siebie brało się ze spotkania z dłońmi policzkującymi go z nawiązką, to dla Sahaga Şeitania jego wewnętrzne cierpienie wynikało ze spotkania z Yusufem.

OSIEM

HISTORIA YUSUFA. W *Księdze szeptów* nie ma postaci zmyślonych, ponieważ wszystkie istniały na tym świecie w swoim miejscu, czasie i z wymienionymi imionami. Tylko jedna postać może wydawać się wymyślona, jej istnienie bowiem przekształca *Księgę szeptów* w rzeczywistość stopniową, która pomnaża siebie samą jak dwa umieszczone naprzeciwko siebie lustra. Często przywołuję opowiadacza tej książki. W mojej historii opowiadacz opowiada o *Księdze szeptów*. A w tej nowej opowiadanej książce pojawia się ponownie opowiadacz, który opowiada. Opowiada o opowiadaczu i o jego historii. Jeśli byśmy odwrócili kolejność i dotarli do ostatniego opowiadającego, tego, który nie ma słabości do opisywania siebie samego, i od niego doszlibyśmy do mnie, wtedy mielibyśmy sen, potem sen ze snu i tak dalej. Tak więc, pisząc o tym, kto pisze, a on z kolei siedzi pochylony nad rękopisem, w którym istnieje postać nazywana autorem i pisze, to tak jakbyśmy schodzili ze stopni, niczym te drewniane zabawki – matrioski wchodzące jedne w drugie, które przywiózł ze sobą z Syberii stary Musaian, myląc liczbę lat i zapominając, że jego syn Arachel osiągnął tymczasem wiek służby wojskowej.

Wśród tak wielu realnych postaci niektóre nazwiska odnajdziecie w podręcznikach do historii, inne pojawiają się wyłącznie w *Księdze szeptów*. Choć książka opowiada najczęściej o przeszłości, nie jest to książka historyczna, bo w nich mówi się przede wszystkim o zwycięzcach; jest ona raczej wyborem psalmów, ponieważ opowiada głównie o pokonanych. A wśród bohaterów książki znajduje się też taki, który nie istniał, a mimo to lub może właśnie dlatego ma nawet imię: Yusuf. Ten Yusuf to pożyczone imię i istnieje w *Księdze szeptów* tylko dlatego, że choć nie wchodził w skład *Księgi*, jest jednak kluczem, który otwiera drzwi do najbardziej opłakiwanego pomieszczenia z końca wieku, z gołymi ścianami podrapanymi paznokciem, z zerwanymi podłogami i usypanymi kopcami ziemi, niedbale, tak jak to bywa w przypadku wykopanych w pośpiechu grobów. A najpośpieszniej kopanymi grobami są mogiły zbiorowe.

Żywi i umarli należą do nieba i ziemi. Tylko konający należą w całości do śmierci. Ona przechadza się pośród nich, jest wręcz tkliwa, agonia jest stanem, o

który śmierć troszczy się, by nie przerwać go zbyt wcześnie. Jest to dla niej jak świeży owies. Stan konania jest inicjacją do śmierci. Od Mamury aż po Deir ez-Zor, na dystansie ponad trzystu kilometrów cały naród przebył siedem kręgów, to znaczy drogę inicjacji do śmierci. Na której końcu Sahag Şeitania spotkał Yusufa.

MAMURA. PIERWSZY KRAĞ. Droga wiodła prosto, wzdłuż linii kolejowej. Wejście w pierwszy krąg konwojów, które zgromadziły Ormian z najróżniejszych miejsc, z Anatolii europejskiej, Smyrny, Izmitu lub Adrianopola albo zachodnich wilajetów Anatolii, Trabzonu, Erzurum lub Harput, odbywało się pieszo. Widziani z daleka, tak jak kroczyli, stłoczeni blisko siebie, z pochylonymi czołami, ludzie wyglądali na pielgrzymów. Tylko że pielgrzymów prowadzi wiara, nie zaś żołnierze pchający ich od tyłu końskimi pyskami lub doprowadzający uderzeniami biczu tych, którzy oddzielili się od konwoju. Rodzina Sahaga Şeitania składała się z pięciu osób: babci, rodziców, jego i młodszej siostry. Dwoje starszych dzieci – Simon i Haigui – w tajemnicy wysłano do Konstantynopola. Jego matka, Hermine, była twardą kobietą. Nadal trzymała się dobrze na nogach, obejmowała ramionami dzieci i trzymała się prostej drogi pośrodku konwoju, aby ochraniać je przed końskimi kopytami. A także aby oszczędzić im widoku rozszarpanych przez kruki trupów leżących na obrzeżach drogi. Mieli trochę pieniędzy, Rupen, ojciec, trzymał je ukryte pod koszulą. Za ich część mogli opłacić sobie w pewien sposób bilety lub raczej kupić życzliwość zawiadowcy stacji z Izmit i wsiąść do pociągu, którym przebyli na linii Eskişehir – Konya – Bozanti – Adana prawie połowę drogi do Mamury, gdzie pociąg zatrzymał się na rozkaz wojska blokującego linię kolejową. Ale zatrzymanie pociągu, nawet jeśli droga prowadząca przez kamieniste ścieżki lub przez równinę pod piekącym słońcem była wyczerpująca, uratowało im życie. Wagony do transportu zwierząt, w których zostali stłoczeni, były ciasne, brakowało jedzenia i nikt nie dał im wody. Nieżywi, którzy pozostali w wagonach, dopiero co wyzionęli ducha, wszyscy bowiem, którzy zmarli w drodze, byli wyrzucani z pociągu.

Şeitaniańowie mieli zatem podwójne szczęście. Po pierwsze, oszczędzono im setek kilometrów na piechotę, a po drugie, zostali wyprowadzeni z wagonów, gdzie, gdyby zostali dłużej, prawdopodobnie by umarli tak jak ci, którzy się udusili. Ale większość, zwłaszcza konwoje z zachodnich wilajetów, nie miała takiej możliwości. Tamci odbyli całą podróż pieszo, niektórzy, najbogatsi, mogli zdobyć wózki lub muły. Z powodu zmęczenia, zimna, głodu, grabieży i krwawych mordów spośród prawie

półtora miliona deportowanych jedna trzecia zmarła przed dotarciem na skraj pierwszego kręgu. Do nich należy dodać tych, którzy jednak tam przybyli, ale nie o własnych siłach, lecz niesieni przez wody Tygrysu i Eufratu.

We wrześniu noce zaczynały być chłodne, ale upał dnia wcale nie łagodniał. Rodzina została zapędzona na rozległy teren w pobliżu dworca Mamury. Jak sięgnąć wzrokiem, ludzie postawili, aż trudno uwierzyć z czego, z koców, ubrań, pościeli, prowizoryczne namioty. Większość namiotów opierała się tylko na czterech patykach, były to rozciągnięte na powierzchni trzech–czterech metrów kwadratowych jakieś wypłowiałe tkaniny, chroniące przed słońcem i deszczem, ale nieskuteczne do ochrony przed zimnem. Sahag objął wzrokiem tak wiele skleconych namiotów, że nie widać było końca. Zostały umieszczone tuż na obrzeżach miasta, po drugiej stronie torów, aby granicę szyn kolejowych można było lepiej upilnować i aby nikt nie odważył się przedostać do miasta w poszukiwaniu chleba. Oni mieli jeszcze jakieś jedzenie, posilali się w pośpiechu i uważnie, w cieniu namiotu, tak aby nie zauważyli ich inni ludzie w pobliżu.

Od czasu do czasu rozproszone grupy zbliżały się do torów kolejowych, ale były natychmiast zaganiane do obozu. W końcu jednak żołnierze przestali im grozić i pozwolili zająć się swoimi sprawami. Tym razem chodziło o tych, którzy chodząc od namiotu do namiotu, pomagali ludziom wynosić zmarłych. I aby nie zostawiać zmarłych zupełnie samych, sadzali ich obok siebie, a następnie, gdy się namnożyli ponad miarę, kładli ich jeden na drugim, tak że śmierć utworzyła kopczyki, które otaczały obóz niczym strażnicze wieżyczki. Zwierzęta prychały z głodu i od zapachu śmierci, były to przede wszystkim muły zaprzęgnięte do wozów lub przewożące tobołki w jukach. Muły okazały się bardziej odporne niż konie, które umierały z pragnienia albo łamały sobie kończyny na górskich szlakach. Psy trzymały się na dystans, czuły w ludzkich oczach ten sam głód i nagonkę, czekały cierpliwie, podobnie jak chmary kruków, aż zapadnie wieczór.

Spali stłoczeni jeden przy drugim, aby trzymać ciepło. W dzień rozbierali się i rozpościerali nad sobą powiązane ubrania. Umówili się z parą nowożeńców z Konya, że będą dzielić z nimi ich wózek, który mężczyźni pchali od tyłu, na zmianę, aby pomóc mułowi. Jakaś kobieta zaproponowała, że pozszywa im pościel, aby lepiej wytrzymała na wietrze. Była ze swoim narzeczoną, mieli się pobrać, ale goście weselni umarli w drodze. Matka Sahaga miała dwa garnki, do których zbierała deszczówkę. Gdy woda się kończyła zwilżali sobie usta szmatkami, które rozkładali

na noc, by nawilgły od rosy. Gdy rozciągających się namiotów było zbyt dużo, grożąc rozlaniem się po drugiej stronie torów, a liczba zmarłych była tak wysoka, że powietrze gęstniało od odoru śmierci, żołnierze wpadali konno pomiędzy namioty i wyganiaли z powrotem na drogę kilka tysięcy ludzi. Namioty tratowały kopyta zwierząt, ludzie zaś byli spychani na boki uderzeniami batów. Jeśli nie zdołali wystarczająco szybko upchać swoich rzeczy w tobołkach albo złożyć namiotów, jeźdźcy popędzali ich, podpalając dachy z wysuszonych tkanin. Kolej Şeitaniaków wypadła pod koniec października. Do następnego postoju mieli jakieś pięć godzin drogi do przejścia dla człowieka w pełni sił, ale oni potrzebowali na to prawie dwa dni.

ISLAHIYE. DRUGI KRAĞ. Droga prowadziła przez góry Amanus¹, na szczyt, a następnie schodziła ku Islahiye, nad brzeg rzeki. W chwili, gdy dotarli do drugiego kręgu, spadł pierwszy śnieg. Wielu było odzianych w wytarte łachmany i tylko pył nasączony potem pogrubiał ich odzież, utrzymując ciepło. Zostawili koc na mule i otulali się przez całą drogę pościelą. Porzucili wózek, który nie mieścił się na wąskich ścieżkach, a mężczyźni wzięli na plecy tyle, ile zdołali unieść. Gdy troszkę się ociepliło, podarli poszwę na paski i przywiązali się nimi jeden do drugiego, aby nie ześlizgnąć się po zboczu stromej doliny. To była czysta górską ścieżka i pozostała taka po przejściu konwojów, tych, którzy padali osłabieni, spychano uderzeniami kija w przepaść. Staruszka podróżowała na mule, co pomogło jej przetrwać drogę, w przeciwieństwie do wielu innych, którzy umarli z wycieńczenia lub ledwie żywi spadali, uderzając o skały. Gdy konwój przybył na równinę, wyszła mu naprzeciw grupa kilkunastu uzbrojonych Kurdów. Jak na rozkaz żołnierze maszerowali w miejscu, pozwalając, by konwój posuwał się do przodu bez ochrony. Ludzie zatrzymali się, patrząc z przerażaniem na jeźdźców, którzy rzucili się do ataku, wymachując pistoletami i mieczami. Płaskowyż był wąski, tuż za nimi były góry, po obu stronach strome zbocza dolin, przed sobą zaś mieli jeźdźców. Scena, którą znamy z setek relacji. Opuszczone konwoje pozbawione ochrony, głównie kobiety i dzieci, rozpierzchające się po polu, każdy szuka ucieczki, nie wiedząc, że właśnie wtedy, gdy udaje mu się odłączyć od tłumu, staje się najpewniejszym łupem dla jeźdźców nastawionych na grabież i krwawe mordy – czy to ze strony przestępców, dopiero co uwolnionych z więzień tureckich i uzbrojonych, czy też Kurdów,

¹ Obecnie góry Nur.

Czeczenów i Beduinów. Rzadko organizowali przypadkowe najazdy, zazwyczaj byli powiadamiani o terminie i trasie konwojów, a żołnierzy instruowano, aby się oddalali, pozwalając im przejść sprawy w swoje ręce. Czasem jeźdźcy zadowalali się grabieżą i porywali młode kobiety, innym razem, co zdarzało częściej, wybijali konwój do ostatniego. Nie było żadnej reguły, mogłeś zginąć, ponieważ miałeś przy sobie pieniądze lub biżuterię albo właśnie dlatego, że nie miałeś nic, co mógłbyś im dać. Najlepiej było zwinąć się w kłębek lub położyć, udając martwego. Jeśli miałeś szczęście uniknąć stratowania kopytami koni, mogłeś przeżyć czekając, aż uganiający się za ruchomymi celami jeźdźcy zmęczą się lub zapadnie zmrok, wtedy bowiem oddalali się, pokrzykując i przyciskając do siodła szamoczące się kobiety. Pozostawiali za sobą usłane trupami pole, z którego żywi jeszcze ludzie podnosili się powoli, oszołomieni.

Narzeczony kobiety, z którą się zaprzyjaźnili, także został zamordowany. Nosił na szyi bezwartościowy, ale błyszczący łańcuszek, który wpadł w oko jakiemuś jeźdźcowi, a ten nie wysilił się, aby zabrać go inaczej, niż urzynając mężczyźnie głowę. Musieli porzucić go tam, na pastwę dzikich zwierząt.

Ciągnąc za sobą zmarłych, pozostali przy życiu przybyli na pole Islahiye dopiero o świcie. Po obu stronach wejścia do obozu wznosiły się stosy trupów, głównie dzieci. Zmęczeni, rozbili swoje namioty. Nie było już prawie nic do jedzenia. Rankiem żołnierze przemierzali konno obóz, rozrzucając na chybił trafił chleb pomiędzy namioty. Ludzie rzucali się, chwytając w kilku jeden kawałek i walcząc o niego. Około południa obóz się uspokajał, ludzie czołgali się pod namiotami, czuwając nad tymi, którzy konali.

Żołnierze trzymali się na odległość, ponieważ przytłaczający odór śmierci nie był słodki, lecz ostry, zapowiadając rozprzestrzenianie się czerwonki. Komendant obozu zwoływał silnych mężczyzn i nakazywał im, by gromadzili zmarłych. Jako że głód i czerwonka spowodowały, podczas tamtych jesiennych miesięcy, w obozie w Islahiye śmierć ponad sześćdziesięciu tysięcy ofiar, komendant wydał rozkaz, aby zmarłych pozostawić na dwa lub trzy dni na skraju obozu, nim zostaną pogrzebni. Wystawione na działanie wiatru trupy wysychały i kurczyły się, zajmując mniej miejsca: tym sposobem masowe groby stawały się bardziej pojemne.

Potem zbliżali swoje namioty tak, aby złodzieje, zwłaszcza Beduini z okolicznych wsi, nie zdołali wślizgnąć się pomiędzy nich. Nie obawiali się siebie nawzajem, bo żaden z deportowanych nie kradł pieniędzy ani biżuterii, nie mając co

z tym zrobić. To, co mogłoby wzbudzić ich pożądanie, mąka, cukier czy suszone mięso, już dawno się skończyło. Zwierzęta szukały pod murami lub pomiędzy torowiskami kępek trawy. Ci rozrywani od wewnątrz przez czerwonkę leżeli zwinięci, czekając na śmierć. Pozostali przeżywali długo kawałeczki chleba zrzucane z galopującego konia. Zdarzyła się rzecz straszna i cudowna zarazem: spadł śnieg. Ludzie wybiegli z namiotów z rozpostartymi dłońmi, mieli jeszcze wystarczająco życia w sobie, by płatki topniały w zagłębieniach dłoni i by zlizywać krople z palców. A widząc, że opady śniegu nasilają się, czekali, aż utworzy się warstwa, i zlizywali śnieg z ziemi, razem z psami i mułami. Sahag zaspokoił pragnienie bardziej niż inni, zauważył bowiem, że rosnąca warstwa śniegu utrzymywała się zwłaszcza na czołach nieboszczyków, zimniejszych nawet od ziemi. Wraz z opadami śniegu nadszedł straszliwy mróz, skuł ziemię i przemienił pościel, z której zostały sklecone namioty, w ostre fałdy, ale też oczyścił powietrze i powstrzymał rojowisko wszelkiego rodzaju stworzeń, wyziewy zaś opadły na ziemię jak szron. Ludzie przytulali się ciasno do siebie, schodząc się z wielu namiotów do jednego najbardziej przestronnego, a tam, gdzie komuś udało się sklecić ognisko, zmiękczając kilka oblodzonych gałązek, pchali się, nawet jeśli mogli tylko z daleka popatrzeć na ledwie tłący się płomień.

Umierający byli tak wychudzeni z głodu i tak wyschnięci z zimna, że gdy przeciągano ich pomiędzy namiotami za ręce lub nogi, ich ramiona i kostki łamały się, trzaskając jak suche gałęzie. Gdy śnieg stopniał, ponownie formowano konwoje. Niebo zachmurzyło się i zaczął padać deszcz. Na ścieżkach nagromadziło się błoto. Ludzie wiązali sobie wokół stóp opaski z pościeli, inaczej bose stopy kleiły się do ziemi, a nie brakowało siły na wyciąganie ich z błota. Przy drobnym deszczu, który zacierał wszystkie kontury, nowa droga trwała prawie tydzień. Nie można było policzyć zmarłych, ponieważ podczas tej mglistej drogi, gdzie nikt nie dostrzegał więcej prócz niebieskawych oparów własnego oddechu, ciała tych, którzy padali, były równie miękkie i lepkie od deszczu jak glina. Zostali zdeptani przez idących za nimi, a ich ciała, niczym wmieszane w czarne ciasto, pokrywały się błotem dróg. Deszcz nie ustał nawet wtedy, gdy przybyli na miejsce.

BAB. TRZECI KRAĞ. Pole czarnych namiotów przed miejscowością rozciągało się w paśmie kilku kilometrów, aby odciąć deportowanym dostęp do miasta. Z powodu gliniastej gleby woda zmieszana ze śniegiem tworzyła kałuże, wszystko przemieniło

się w bagno. Nie zdołali zliczyć zmarłych, którzy pozostali na drodze, gdyż nie radzili już sobie z tymi, którzy umierali teraz w obozie dla deportowanych. Mężczyźni, tylu, ilu ich jeszcze pozostało, podzielili się na dwie grupy. Jedna zajmowała się wynoszeniem zmarłych poza obóz i kopaniem masowych grobów. Trudniej było nosić zmarłych w trzecim kręgu, bo wyschnięci jak spulchniona ziemia, z kośćmi lekkimi od zimna, chłonęli wodę i pęcznieli, a rozmiękczone wodą żyły pękały, czerwieniąc ich jak surowe mięso. Napęczniałe i trudne do zgięcia ciała zajmowały więcej miejsca, przez co groby, również dlatego, że ziemia była lepka, trzeba było kopać szersze.

Druga grupa mężczyzn buszowała po polach, zbliżając się do miasta tylko do wysypiska śmieci i na obrzeża biednych dzielnic, w poszukiwaniu pożywienia, składającego się najczęściej z martwych zwierząt. Ci wciąż zwinni rzucali kamieniami do kruków lub polowali na psy, które kręciły się wokół obozu i gdy zapadała noc, rozgrzebywały zasypane pośpiesznie groby w poszukiwaniu jeszcze niegnijących ciał.

W tych warunkach wybuchła epidemia tyfusu. Najpierw uderzyła w dzieci. Pokryła ich twarze czerwonymi plamami, które z powodu brudu przemieniły się szybko w krwawiące rany, gdzie krew mieszała się z potem gorączki. Następnie przeszła na ich matki, które nie mogły się powstrzymać, by nie tulić w ramionach drżących od gorączki dzieci. Tylko mróz zapobiegł rozprzestrzenieniu się zarazy na wszystkich. Ale zimno sprawiło także, że ci, którzy się rozchorowali, nie zdołali już z tego wyjść. W obawie przed chorobą żołnierze trzymali się z daleka i tylko z rzadka, nie schodząc z koni, zapuszczali się między namioty, aby pośpiesznie rozrzucić chleb, który wpadał do brei śniegowej. Nikt nie myślał o tym, by wytrzeć go z błota, szczęśliwcy, którzy zdołali uchwycić kawałek chleba, biegli podzielić się nim z pozostałymi w namiocie lub kulili się z głową przytuloną do piersi, ściskając swoją piętękę i połykając kawałki bez przeżuwania, aby nikt inny nie rzucił się na nich, by ją wyrwać.

Od czasu do czasu przede wszystkim kobiety, które dostawały obłędu z żalości nad swoimi umierającymi dziećmi, zapuszczaly się na obrzeża miasta, by prosić o jedzenie, szukać bezpieczniejszego dachu nad głową lub czystej pościeli. Były przeganiane kamieniami lub bite kijami, jeśli nie zostały od razu zastrzelone.

Kobieta, z którą wyruszyli w drogę, rozchorowała się. Siedziała skulona i jedyne, co mogli dla niej zrobić, to okryć jej ramiona całą pościelą, jaką mieli.

Pewnego dnia mężczyzna rodziny Şeitanianów wrócił z krukiem, którego upolował, gdy ptak krążył ze swoim stadem nad stosem trupów. Mężczyzna miał dzikie spojrzenie, jego zapadłe policzki były pokryte kępkami kręconych włosów, z ubrania pozostały już tylko łachmany i aby nie przewiewał ich wiatr, przewiązał je sznurkiem, którym owinął się kilka razy wokół ciała, od klatki piersiowej do pasa. Zamiast butów nosił dwa zawiązane paski szmaty z doczepionym kawałkiem deski pod podeszwą. To sprawiało, że jego chód był nieskoordynowany i powłóczysty; od czasu do czasu unosił podeszwy, by przekraczać progi. Aby polować, nie musiał biegać, nie miałby nawet na to siły; padlinę wystarczyło tylko nieść, a psy i kruki, obciążone pożywieniem, którego obóz dostarczał im obficie, wystarczyło zręcznie ogłuszyć kamieniem, następnie tym samym kamieniem roztrzaskać im głowę. Lub ukręcić szybko kark. Co też Rupen Şeitanian uczynił, głowa ptaka była wykręcona w nienaturalnej pozycji. Ujrzawszy go, Hermine przytuliła dzieci do piersi i wyszeptła wstrząśnięta: „*Ur es, Astvadz? Gdzie jesteś, Panie?*”. „Bóg umiera, kobieto – odpowiedział mężczyzna. – Spójrz, jego aniołowie już umarli”. I rzucił czarnego ptaka na środek namiotu.

Z kilku wilgotnych gałązek udało im się z trudem rozpalić ledwo tłący się ogień i przypiekli mięso oskubanego ptaka. Ale to nie pomogło chorej, której skurczony żołądek nie przyjmował już jedzenia. Zwymiotowała jedyny kawałek, który zdołała połknąć, i nie mogąc powstrzymać skurczów, udusiła się. „To znak czarnego anioła” – wymamrotała Hermine. „To inny znak, bardziej przeklęty – powiedział Rupen – jeśli Bóg zabija nawet czarne anioły”. I spojrzał na ołowiane niebo, bagnistą ziemię, drobny deszcz i obozowe opary, które łączyły niebo i ziemię w chciwej i morderczej mgiełce. Rupen wsadził zmarłą kobietę na muła, jej ciało zwisało z jednej i z drugiej strony niczym sakwa, i zawiózł ją na skraj obozu, gdzie trupy pęczniały, przemieniając się w galaretowatą masę. Ale wcześniej rozebrał ją i rozdzielił jej ubrania pomiędzy najmłodszą siostrę Sahaga, aby chronić ją przed zimnem, i tę młodą kobietę z Konya, aby przypadkiem Beduini, widząc ją rozebraną, nie zapragnęli jej ciała.

Jakkolwiek wystrzegali się ich okoliczni mieszkańcy, przeganiając deportowanych jak psy tym, co tylko wpadło im w ręce, i krzyżąc: „*Ermeni! Ermeni!*”, aby inni też wyszli rzucać kamieniami w te istoty, które zbliżały się niepewnie, z wyciągniętymi rękami, tak więc, jakkolwiek się ich wystrzegali, tyfus rozprzestrzenił się także w mieście. Wtenczas Arabowie zebrali swoich wojowników i najechali na

obóz deportowanych, orając go końskimi kopytami, zabijając ostrzem miecza lub kulą, przeganiając rękojeścią szabli, uderzeniami kija i podpalając namioty. Jak zawsze żołnierze patrzyli obojętnie, przyjmując życzliwie pomoc, którą, podobnie jak w innych przypadkach, watahy wojowników niosły głodowi, biegunce lub tyfusowi. Rzeź trwała cały dzień i wojownicy obiecali wrócić następnego dnia, jeśli deportowani nie wyruszą w drogę, idąc gdzie tylko ich oczy poniosą, oby tylko jak najdalej od ich domów. Chociaż instrukcje przewidywały, że obóz z Bab powinien być trzymany w odizolowaniu do czasu nadejścia wiosny, to jednak z powodu niezadowolenia mieszkańców konwój wyruszył w drogę. Było to 5 stycznia, właściwie nie wiedzieli tego dokładnie, nikt nie liczył dni, a ponieważ nie istniał żaden znak, dzięki któremu można by odróżniać dni, jak na przykład nabożeństwo niedzielne, dostrzegali tylko zmiany pór roku, ale i to w pewnego rodzaju przybliżeniu. Jedynym dokładniejszym obliczeniem była ilość zmarłych, które tureccy żołnierze prowadzili, robiąc bagnetem nacięcia na najbliższym słupie nieopodal każdego miejsca złożenia trupów. Ale nawet te rachunki zatraciły się, gdy z powodu spustoszeń, które poczynił tyfus, zmarli zaczęli być przewożeni wozami i wrzucani bezpośrednio do dołu.

Po długości nocy próbowali ustalić dzień Bożego Narodzenia, ale ponieważ niebo było stale zachmurzone i ołowiane, noce wydawały się dłuższe, niż były. I zmarli się pomnażali, konający bowiem wydawali ostatnie tchnienie zwłaszcza nocą. Ale ponieważ następnego dnia miały wyruszyć pierwsze konwoje i nie mogli przewidzieć, ilu z nich dotrze do końca drogi, kilku księży, którzy nie różnili się zbyt od pozostałych, poza tym że nosili nieco dłuższe brody, zdecydowało, że tamtej nocy będzie Wigilia Bożego Narodzenia. Ci, którzy zachowali jeszcze resztki świecy, zapalili ją. Hermine powiedziała: „Pozwólcie, by było widać światło”. Wypalili całą świecę, zbierając palcami gorący wosk, który z niej skapywał. „Powinniśmy byli zachować jeszcze ogarek na noc Zmartwychwstania”. „Do tego czasu – rzekł Rupen – wszyscy będziemy martwi”.

MESKENE. CZWARTY KRAĞ. Aby nie zbliżać się do Aleppo, gdzie istniało ryzyko ponownego zakażenia oraz wobec rosnącej wrogości miejscowych i nagłego rozkazu Dżemala Paszy, aby deportowanych i ich konwoje trzymać z dala od torów kolejowych, musieli ominąć przystępniejszą drogę, prowadzącą przez Aleppo i Sebil, i przemierzyć dzikie miejsca, jak Tefridje i Lale. Zdrowy człowiek mógłby przebyć drogę z Bab do Meskene w ciągu dwóch dni, i to jeśli założymy, że cieszyłyby się

spokojnym snem w karawanserajach w Lale, jadł do syta i miał bukłaki z wodą, wiezione przez muły. Konwoje, które wyruszyły z Bab, przemierzyły tę drogę w co najmniej dziesięć dni, a niektóre dotarły nawet po dwóch tygodniach.

Na wyjściu z Bab znowu zaczął padać śnieg. Ponieważ nie trzymali się głównej drogi przez Aleppo, a śnieg pokrywał cały obszar, konwoje myliły często kierunek i po chwili namysłu żołnierze sprowadzali je na właściwą drogę, popychając z jednej strony pyskami koni. Nietrudno było się pomylić, bo ci, którzy tworzyli konwoje, nawet najbardziej odporni, z pierwszych rzędów, biorąc odważnie na siebie cały wiatr, szli z oczami wbitymi w ziemię, rzadko podnosząc wzrok, i to nie po to, by spojrzeć na drogę – ta wydawała im się bez końca – ale ku niebu, szukając jakiegoś smugi światła, znaku, że śnieżyca ustaje, albo po prostu jakiegokolwiek znaku. Opatulali się we wszystkie szmaty i pościel, które jeszcze im zostały; przewiązywali je wokół ciała sznurem dla ochrony przed wiatrem. Najgrubsze koce zachowali dla stóp, wykrawając z nich coś w rodzaju butów, które nasączali olejem, jeśli jeszcze go mieli, lub w dołach z ropą naftową, aby stały się wodoodporne i chroniły przed śniegiem. Konwój wyruszył na początku w zwartym szyku, potem jednak, w miarę jak odczuwali zmęczenie, rozciągnął się na długość prawie kilometra. Żołnierze zadowalali się szturchaniem ludzi, rezygnując z poganiania ich: ci popychani batem lub kijem, zamiast przyspieszyć kroku, padali na kolana. Biorąc to za oznakę buntu, żołnierze zabijali ich, by oszczędzić kule, tylko uderzeniem kija w ciemię. Bici tracili przytomność, wpadając do śniegu, co było jednoznaczne ze śmiercią. Potem żołnierze zaprzestali tych praktyk, pozwalając im posuwać się do przodu zależnie od sił. Ci wyczerpani szli coraz wolniej i znajdowali się na samym końcu konwoju, z coraz większym trudem wyciągali stopy z zasp i ostatecznie pozostawali w bezruchu, wbici w śnieg, z nazbyt zmrożonymi nogami, by mogli jeszcze zgjąć kolana. Umierali w takiej pozycji, na stojąco, z rozpostartymi ramionami, tak jak uniósł je wiatr, niczym jakieś czarne suche drzewa. Wozy wysłane po nich przez gubernatora z Aleppo, który przejął się dużą liczbą zmarłych zapomnianych na drogach, co rodziło ryzyko rozprzestrzeniania się epidemii w mieście, znajdowały ich czasem po kilku dniach nadal w pozycji stojącej, z zamrożonymi rękami trzaskającymi na wietrze. Na początku grabarze byli przestraszeni. Potem wrywali ich po prostu ze śniegu jak jakieś pnie ze zgniłymi korzeniami, tłumacząc sobie, że ziemia miała dość tylu zmarłych i tym właśnie postanowiła pozwolić umrzeć na stojąco.

Deportowani spali w opuszczonych karawanserajach, czasami pozostawali w nich po dwa dni z rzędu, aby odzyskać trochę sił. Wraz z wozami dla zmarłych przybyło z Aleppo kilka worków *bulghur*, rodzaju łuskanej pszenicy, którą rozdzielono pomiędzy nich, każdemu tyle, ile mieściło się w miseczce z dłoni. W Tefridje i Lale zobaczyli z daleka dużą ilość namiotów rozciągniętych na słupach, z blaszanymi dachami, niektóre miały nawet schronienia z cegły, i ucieszyli się na myśl, że będą mogli ukryć się przed zimnem. Ale nie pozwolono im podejść bliżej niż na odległość kilkudziesięciu metrów. Aby droga do Meskene nie była usiana martwymi ciałami, władze zdecydowały, że w wilajecie Aleppo zostaną utworzone miejsca, gdzie będą gromadzeni umierający z konwojów. Nie otrzymywali już oni żadnego rodzaju opieki, byli po prostu rozmieszczani po piętnaście czy dwadzieścia osób w namiocie i zostawiani tam na śmierć. Przybyli w tak opłakanym stanie, że nie mieli nawet siły, aby przewrócić się z boku na bok lub odgonić z twarzy roje owadów. Umierali w takiej pozycji, w jakiej zostali złożeni, często z otwartymi oczami, powieki bowiem były zbyt skurczone i suche, by przykryć białko oka. To dlatego obozy te były strzeżone tylko przez kilku strażników, bez karabinów, ale uzbrojonych w kije i kamienie przeciwko psom, hienom i wronom. Strażnicy nie przejawiali jednak zbyt wielkiej gorliwości.

Radość zbliżania się do miejsc, które wydawały im się przygotowane do obrony przed plagą mieszaniny wiatru, deszczu i śniegu, zastąpiło zdumienie, a następnie przerażenie, gdy konwój został zatrzymany w pobliżu namiotów, ale nie pozwolono im się do nich zbliżyć. W obu miejscach konwój został powitany przez grupę żołnierzy z czauszem i ubranym na czarno mężczyzną na czele, do którego pozostali zwracali się *doktor efendi*. To on rozkazał, by wszyscy ludzie z konwoju zostali ustawieni w rzędzie, na odległość jednego kroku od siebie, tak aby wzajemnie nie mogli się podpierać. Niektórzy upadali natychmiast, ułatwiając *doktorowi efendi* pracę. Bo on nie przychodził zatroszczyć się o żywych, lecz o martwych. Aby nie ryzykować, że będzie tak wiele trupów porzucanych na drodze, zwłaszcza że Aleppo było usiane konsulatami, gotowymi słać depesze na dwory królewskie w Europie, *doktor efendi* wskazywał umierających, których natychmiast chwymano i prowadzono do namiotów oraz bito, jeśli tłące się w nich życie próbowało się opierać. *Doktor efendi* oceniał wszystkich, wskazując palcem każdego, kto miał wysypkę, drżał na całym ciele, miał zbyt bladą twarz i zapadnięte oczy lub zieloną pianę w kącikach ust od świstów podziurawionych płuc. W każdym z tych dwóch obozów dla konających konwój zmniejszał się o około jedną dziesiątą. Spośród tych, którzy

wyruszyli z Bab, ponad jedna trzecia nie dotarła do Meskene. Wielu z nich wyzionęło ducha na tych przystankach dla umierających, ciała innych rozsypały się po drogach, ich zwłoki stopiły się razem ze śniegiem i spłynęły do strumyków, a kości zostały zmielone na proch.

W Meskene, na granicy czwartego kręgu, konwoje spotykały się z Eufratem, ruchomym grobem tysięcy deportowanych. W zakolu rzeki za Meskene gromadziły się trupy z północy, których wody nie zdołały zatopić lub nie rozdrobniły ich jeszcze ryby. Ciała przyciągano do brzegu hakami. Ponieważ ziemia była zamrznięta, a trupów było zbyt wiele, aby pomieścić je w grobach, skrapiano je benzyną i podpalano. Czarny dym widać było z obozu w Meskene, tak więc deportowani wiedzieli, dlaczego jest taki gęsty, dlaczego stos jest tak wilgotny, że ledwo się tli, i co właściwie pływa po rzece, a mimo to podchodzili do brzegu, klękali i pili chciwie wodę o smaku łągu. Niektórzy ponownie rozbijali namioty, inni instalowali się w tych opuszczonych. Jak za każdym razem po pojawieniu się nowego konwoju, liczba zmarłych rosła, a następnie wracała do dawnej, zwykłej, pięciuset–sześciuset dziennie. Zimno zelało, zwłaszcza za dnia, ale było uciążliwe w nocy. Śnieg i deszcz ustały i odtąd miały być już coraz rzadsze, w miarę jak zbliżali się do pustyni. Powietrze stawało się coraz bardziej suche, a oddechy umierających coraz bardziej świszczące.

Obóz był surowo strzeżony. Tych kilku ludzi, którym udało się ominąć nadzór, było wyłapywanych na polu w pobliżu miasta, na kilka godzin zanurzanych po szyję w zimnej wodzie rzeki, a potem zostawianych na brzegu, na wietrze. Jeśli przeżyli, wysyłano ich do namiotów, gdzie w dreszczach i majacząc, umierali niedługo potem.

Nagle muł padł na kolana i odmówił wody. To było dobre zwierzę. Rupen głaskał go długo i czule po czole, a następnie uderzył kilka razy kamieniem tam, gdzie wcześniej głaskał. Dzieci oplakiwały muła, ale otarły łzy, czując słodki smak mięsa, które nie było żylaste jak mięso zabitych kruków ani gorzkie jak mięso padliny. Wystarczyło im kilka dni, by nabrać sił. Otrzymali również garść *bulghur*. Gdy spojrzeli pytająco, zdziwieni wobec tego gestu współczucia, Kior Hussein, ten sam, który karał uciekinierów poprzez zanurzanie ich w lodowatej wodzie, wyjawiał im powód: „Nie chcę, abyście tu umierali. I tak mamy wystarczająco dużo na głowie. Ziemia jest lepka i trudno się w niej kopie. Tak czy inaczej umrzecie. Ale wynieście

się stąd na własnych nogach aż na pustynię. Tam nikt nie będzie musiał trudzić się z waszego powodu. Pochowają was wiatry i piaski”.

Zrozumieli wtedy, że ci, którzy otrzymali do miseczki z dłoni po garści ziaren, muszą iść dalej. Pozwolono im zbliżyć się do rzeki i napić ługowatej wody, która wkrótce nabrała, podobnie jak wody Jordanu, posmaku ludzkiego ciała. *Bulghur* był przejściowym lekiem na wycieńczone czerwona wewnętrznosci. Połknięte bez żucia, ziarna pęczniały w brzuchu od wody, przygotowując ich zarówno o bolesne uczucie głodu, jak i sytości. Ciało domagało się więcej energii, ale żołądek, ściśnięty od niejedzenia, pęczniał, gotowy rozerwać cienkie ścianki od trawienia na próżno.

Sahag stracił na wadze, jego kostki były niewiele grubsze od ramion. Matka dokładnie odmierzała to, co pozostało jeszcze w woreczkach z mąką i cukrem, nabytych na stacji w Konya od kupców, którzy wiedząc, dokąd idą deportowani, i dodając cenę rozpacz, zażądali kwoty trzykrotnie wyższej w stosunku do normalnej wartości.

Jedli wieczorami, by móc zasnąć, bo Hermine zauważyła, że głód jest trudniejszy do zniesienia nocą, gdy ciało jest bardziej zwrócone ku sobie. Na początku dzieliła jedzenie pomiędzy wszystkich, potem dawała mniej dorosłym, a więcej dzieciom. A w Meskene nie karmiła już staruszki, która pewnego wieczoru przeżegnała się, odwróciła twarzą do ściany namiotu i umarła skulona. W takiej pozycji wrzucono ją rano na wóz z nieboszczykami i tak samo wepchnięto do dołu. Jako że nikt nie zajmował się obmywaniem ciał zmarłych, nikt przy nich nie czuwał i nie składał ich w trumnie ze złożonymi na piersi rękami, nie było powodu, by przykładać nieboszczykom szmatki z ciepłą wodą na zgięcia stawów, aby rozprostować im ręce lub zgięte nogi. Nie mieli zresztą czym i nawet gdyby zadali sobie trud, aby rozluźnić przykurcze zmrożonych i suchych stawów, robiliby to na próżno, bo w zbiorowych mogiłach ciała nie były układane jedno obok drugiego, lecz raczej zrzucane na kupę. „Byłoby lepiej, gdybyśmy przetrzymali ją do popołudnia – powiedziała Hermine. – Do tego czasu doły wypełniłyby się ciałami i umieściliby ją na wierzchu...”. Rupen nic nie odpowiedział, tylko wzruszył ramionami. Nie odzywał się już, potrząsał tylko ramionami i jego żona nie wiedziała, czy jest to dla niego sposób rozmowy, czy po prostu rozprostowywał plecy, coraz bardziej pochylone.

Staruszka wybrała odpowiedni moment na śmierć. Następnego dnia ich część obozu została otoczona przez żołnierzy i popchnięto ich do dalszej drogi. Po śmierci muła stara kobieta i tak nie byłaby w stanie iść i zostałyby wciągnięta na wozy z

umierającymi, którzy wracali do Lale, gdzie jedynymi rzeczami dostępnymi w obfitości były roje owadów i ciepłota, z jaką pozwolono konającym, złożonym jeden obok drugiego, umierać.

DIPSI. PIĄTY KRĄG. W zwyczajny sposób z Meskene do Dipsi było do przejścia tylko pięć dobrych godzin drogi. Ale konwój potrzebował na to więcej niż dwa dni. Stopy napotkały, po raz pierwszy, piaszczystą ziemię, która wieściła bliskość pustyni. Wozy, które zabierały zmarłych i umierających, nie towarzyszyły im już. Od czasu do czasu grabarze, którzy zgromadzili ciała nieboszczyków, czekali aż wiatr wzburzy piaski i pokryje stosy nagich i poczerniałych ciał. Te dwa dni drogi były jednak spokojne. Niebo rozjaśniło się, a wiatry ustały. Zwłoki leżały na poboczu drogi, wiele z nich zostało rozszarpanych przez zwierzęta. Wśród nich umierający, kobiety i mężczyźni wyczerpani ze zmęczenia, z głodu i pragnienia, dzieci, które nie rozumiały, co się z nimi dzieje, czekali na śmierć, wsparci o kamienie lub wyschnięte pnie. Te starania, by pozostać w pozycji siedzącej, były ostatnią próbą walki ze śmiercią, w przeciwnym razie, gdyby położyli się na poboczu drogi, udusiliby się od przykrywającego ich piasku. Obóz, stworzony z kilku tysięcy namiotów, znajdował się w dolinie na prawym brzegu Eufratu. Ci, którzy rozbili go w tak przemyślany sposób, ocenili, że w otoczeniu wzgórz trwały odór śmierci i wyostrzony odór czerwonki i tyfusu będą rozprzestrzeniać się trudniej. Droga między Meskene a Dipsi była krótsza niż z Bab do Meskene, to dlatego gubernator Aleppo nie ustawił w stacjach pośrednich przytułków dla umierających, które eufemistycznie ochrzczono *hastahane*, czyli szpital. Jednakże, biorąc pod uwagę stan wyczerpania, w jakim docierały konwoje deportowanych po dwóch dniach przebytych piaszczystą drogą, a następnie wąskimi górskimi ścieżkami, cały obóz w Dipsi nazywał się *hastahane*. I trafnie został tak nazwany, skoro w ciągu kilku miesięcy, kiedy funkcjonował jako obóz koncentracyjny, zmarło tam ponad trzydzieści tysięcy ludzi. Tak zwany szpital był całkowicie pozbawiony leków i nie miał innego personelu medycznego oprócz ormiańskich lekarzy spośród ocalałych deportowanych, którzy nie mogli zrobić nic więcej, tylko nazwać chorobę, gdy ta nie była oczywista, i policzyć, ile dni pozostało do śmierci. Ten obóz w Dipsi był jednym z najgłębszych stopni w inicjacji do śmierci, nie tyle z powodu wysokiej liczby osób, które zakończyły tam życie, ile przede wszystkim z powodu jeszcze większej liczby tych, którzy zaraziwszy się tam, umarli w drodze do Deir ez-Zor, miejsca, gdzie opadła siódma zasłona śmierci.

Był już marzec. Deszcze ustały. Od czasu do czasu, wieczorem lub o świcie, zbierała się jeszcze jakaś zasłona chmur. Wiosna mogła przyjść niezauważona przez deportowanych, którzy coraz mniej rozglądali się wokoło, a jeśli już to ze strachu, zaalarmowani tupotem końskich kopyt lub strzałami i okrzykami Beduinów. Dlatego patrzyli przede wszystkim w dół. I w ten sposób odkryli wiosnę. Na drodze do Abuhahar, Hamam, Sebka i Deir ez-Zor, gdzie drzewa były coraz rzadsze, wiosna zjawiała się nieoczekiwanie, gdy nagle wyrastały z ziemi kępki traw o długich, cienkich źdźbłach. Na początku nie wiedzieli, jak się nimi żywić, ostre krawędzie raniły do krwi ich dziąsła i dusili się ich włóknistymi pasmami. Potem najbardziej rozmyślni i najcierpliwi pokazali im kunszt jedzenia trawy. Ze źdźbeł trzeba było utoczyć w dłoni kulkę i posypać odrobiną soli, aby zmiękła. Nie należało żuć jej od razu, lecz rozmoczyć w ślinie, tyle, ile udało się jej zebrać w wyschniętych ustach, i trzymać tak kulkę przez kilka minut, do momentu gdy przemieniała się w głodnych ustach w coś w rodzaju papki, gotowanej potrawy. Kiedy nie znajdowali więcej trawy, Rupen wyrwał korzenie i mył je w wodach Eufratu. Kroił je na małe kawałki, które rozmoczone w wodzie można było jeść kilka godzin później. Nie padało, ale niebo nie było pogodne. Bliskość pustyni wznosiła pewnego rodzaju mgiełkę, którą wzbijany przez wiatr tuman pyłu utrzymywał w stanie zawieszenia. Psów i wilków było coraz mniej, w ich miejsce pojawiły się hieny. Trudniej się na nie polowało, były zwinniejsze i bardziej przyzwyczajone do suszy pustyni. Niełatwo było znaleźć ich ścierwo, bo hieny, kiedy czuły, że zbliża się ich koniec, znikają na pustyni, z której przybyły. Pozostawały kruki, trudne do ubicia, ponieważ w tej perłowej mgle niełatwo było dostrzec je na tle pustego powietrza, przez które nie przelatywały ptaki, ani odróżnić jedno od drugich, białe anioły od czarnych aniołów.

Gdy trawy było coraz mniej z powodu wyziewów, a także dlatego że konie żołnierzy tureckich pasły się w pobliżu obozu, Hermine i Rupen postanowili, po bolesnych rozważaniach, oddać Sahaga w szeregi kurierów.

W chwilach samotności moi dziadkowie, Garabet Vosgian i Setrak Melichian, nie nucili pieśni śpiewanych podczas deportacji. Podobnie jak inni ormiańscy starcy mojego dzieciństwa. Wiersze, które czytaliśmy na naszych spotkaniach, gdy byliśmy dziećmi, i pieśni, których słuchaliśmy, przypominały przede wszystkim o fedainach, którzy walczyli w górach, a nie o masakrach i deportacji. Konwoje zeszły w milczeniu po wszystkich stopniach wtajemniczenia do śmierci. Być może dlatego, że wewnętrzne cierpienie było zbyt silne, aby pozwolić, by coś z tego

przeniknęło na zewnątrz. Może dlatego że nie wierzyli, iż istnieje coś jeszcze po.

Ale nie przenikając na zewnątrz, deportowani pisali dla samych siebie. Rękopisy, które pozostały w przestrzeni siedmiu kręgów śmierci, napisano na drogach deportacji wszędzie tam, gdzie dało się znaleźć kawałek drewna, kamień milowy, pień drzewa z miękką korą, mur. Przez długi czas, dopóki nie zmyły ich deszcze i nie zmazał wiatr, ormiańskie słowa i litery pozostały zapisane na drewnie lub wyryte w kamieniu. Ci, którzy przechodzili, pozostawiali wiadomości dla tych, którzy podążali za nimi. Ci zaś, jeśli znalazło się jeszcze miejsce, dodawali swoje słowa. W obozach deportacyjnych krążyły kartki papieru, które ludzie przekazywali sobie nawzajem. Nie podpisywali ich z obawy przed represjami, ani nie datowali. Nie było takiej potrzeby. Rzeczywistość, z wyjątkiem śniegu, który przemieniał się w breję, i warstw błota, które stawały się rozproszonymi chmurami pyłu, pozostawała niezmienna. Wiadomości opisywały, co dzieje się w każdym kręgu śmierci. Ci, którzy wysyłali takie informacje, byli kurierami. Zostali wybrani spośród zwinnych chłopców, mogących prześlizgnąć się bez zwracania na siebie uwagi. I aby mieli siłę, by przemierzać szybko drogi, dostawali prowiant. Niektórzy nie wracali, albo dlatego, że zostali włączeni do bardziej zaawansowanych konwojów, co skracało im podróż ku śmierci, albo dlatego że zostali zabici w drodze. Kurierzy zawsze rekrutowali się spośród osieroconych ochotników, ponieważ niewielu rodziców było gotowych rozstać się ze swoimi dziećmi. Człowiek, który podejmował decyzje na tym końcu konwoju, nazywał się Krikor Ankut. Na drugim końcu, w Deir ez-Zor, czynił to Levon Şaşian, dopóki nie został zabity po niewyobrażalnych torturach.

Krikor Ankut zmierzył chłopca uważnie wzrokiem, pchnął go w klatkę piersiową, ale Sahag znalazł siłę, by ustać sztywno i nie upaść. Wtedy mężczyzna zdecydował, że chłopak się nadaje. Droga do Deir ez-Zor zajmowała około sześciu dni piechotą, kurierzy jednak, przemieszczając się głównie nocą, w dzień zaś chroniąc się w zagłębieniach brzegów, drogę w obie strony pokonywali prawie dwa tygodnie. Sahag poznał nazwisko człowieka, który w obozie deportowanych w Rakka miał zapewnić mu prowiant na dalszą drogę w kierunku Deir ez-Zor. Rupen i Hermine stali z daleka i patrzyli, nie wiedząc, czy decyzja, którą podjęli, wyjdzie ich synowi na dobre, czy przyniesie mu zgubę. Ktoś czuwał na zewnątrz namiotu, ktoś inny przyniósł wody. Hermine umyła dokładnie plecy Sahaga, potem chłopak położył się na ziemi na brzuchu, z rozpostartymi ramionami. Krikor Ankut zanurzał pióro w

kałamarzu i pisał powoli na jego skórze, pokrywając plecy aż do pasa dużymi literami, stylizowanymi, aby uprościć znaki i skończyć jak najszybciej i aby podrapać jak najmniej chłopca, który znosił bez słowa protestu draśnięcia piórem. Fakt, że skóra była naciągnięta na kościach, upraszczało zadanie. Sahag pozostał przez jakiś czas nieruchomo, czekając, aż pismo wyschnie. Potem mieszało ziemię w misce z wodą, uzyskując w ten sposób lekkie błoto, którym pokrywali jego ramiona. W ten sposób umazany błotem był tylko trochę bardziej brudny niż wcześniej. Zapytali go, czy umie pływać, a chłopak odpowiedział, że wychował się nad brzegiem Bosforu. Wreszcie Krikor pokazał mu palcem na ziemi drogę do Deir ez-Zor. „Przemieszczaj się nocą, trzymaj się brzegu Eufratu, nie oddalaj się od niego. Jeśli zobaczysz, że nie ma innego ratunku, rzuć się do wody i pozostań w niej tak długo, jak tylko wytrzymasz, aż atrament namoknie i zmyje go woda. Nie mogą się dowiedzieć, co tu jest napisane. Podobnie w drodze powrotnej. Zwłaszcza w drodze powrotnej”.

Hermine otrzymała w imieniu dziecka prowiant na drogę. Zatrzymała garść ziaren pszenicy i ryżu dla jego młodszej siostry, potem uściskała go, a on przepadł w noc. Nie żegnali się. Widząc tak wiele śmierci wokół i godząc się z tą nieuniknioną rzeczywistością, już dawno pożegnali się ze sobą.

Sahag zrobił dokładnie to, co mu kazano. Wydzielał sobie starannie prowiant, wytrzymał trzy dni bez jedzenia, nie zatrzymał się w Rakka z obawy, że nie zdoła stamtąd wyjść. Przybywszy do Deir ez-Zor, odszukał Levona Şaşiana. Ten stał z niego błoto i odczytał wiadomość Krikora Ankuta, umył go ponownie, aby nanieść na jego plecy inne litery, pokrywając je następnie cienką warstwą błota zmieszanego z popiołem. Po powrocie Krikor Ankut podał mu najpierw miskę wody i garść *bulghur*. Poleciał kobietom, by go umyły, a gdy przeczytał wiadomość, poprosił, aby zostawili go samego. Stał ręką to, co było napisane na plecach chłopca, uściskał go i powiedział: „Nie mów nikomu o tym, co widziałeś w Deir ez-Zor. Większość nie uwierzy, a to w niczym ci nie pomoże. Tym zaś, którzy uwierzą, też nie wyjdzie to na dobre. Wracaj do rodziców”. Kiedy Hermine go zobaczyła, wzięła go w ramiona i rozplakała się, nie tyle z radości, że są razem, ile z litości dla niego.

W połowie kwietnia obóz w Dipsi zlikwidowano i ostatnie konwoje wyruszyły dalej wzdłuż Eufratu. Żołnierze i policja konna otoczyli obóz, wpadając pomiędzy namioty, uderzając kijem lub batem, burząc schronienia i wyganając ludzi na obrzeża, gdzie tworzone konwoje. Gdy wszyscy, którzy mogli jeszcze ustać na nogach i biec w tempie koni, wyszli z namiotów, zmuszeni opuścić konających, dano

znak do wymarszu. Po blisko godzinie drogi w kierunku wzgórz, odwracając głowy w stronę obozu-szpitala z Dipsi, zobaczyli unoszący się gęsty dym. Namioty zostały skropione benzyną i podpalone. Po kolorze dymu i kształcie unoszących się kłębow zrozumieeli, że wraz ze szmatami, z których zrobiono namioty, paliły się ludzkie ciała, suche lub jeszcze mokre, konające, na jednej kupie.

RAKKA. SZÓSTY KRĄG. Podróż trwała ponad tydzień. Dni były upalne, ale noce pozostały nad wyraz zimne. Ludzie szli coraz wolniej, zataczając się. Dla tych półprzytomnych rzędów, obojętnych na bodźce i chłosty strażników na koniach, nie istniało przynajmniej niebezpieczeństwo ataku ze strony uzbrojonych grup, bo nie było już nic do grabienia. Jedynie na postojach zbliżali się Arabowie, kupując dziewczęta za woreczki pszenicy. Konwój trzymał się prawego brzegu rzeki i przybył ostatecznie do Sebka, obozu naprzeciw Rakki, skąd rozciągał się widok na miasto niczym na cudowną i zakazaną krainę. Wody Eufratu były w stanie ugasić pragnienie deportowanych. Ale szanse na znalezienie czegoś do jedzenia były nikłe. Od czasu do czasu żandarmi rozdawali, zrzucając z galopujących koni, worki z żywnością przysyłane przez zagraniczne konsulaty i placówki chrześcijańskie. Większość rzucanej na kupę żywności marnowała się. Ludzie ciągnęli worki z mąką i cukrem, proszek rozsypywał się pomiędzy rozrywające je paznokcie. Inne dary, takie jak ziarna ciecierzycy lub ryż, nie mogły być zjedzone z powodu braku zębów. Ludzie połykali je bez przeżuwania, ale żołądek nie mógł ich strawić, albo dlatego że utracił tę umiejętność, albo z powodu czerwonki nie miał na to czasu. Rupen już nie polował, psy zjawiały się rzadko, wilki zaś chodziły stadami. Zdarzały się przypadki, że rzucały się na tych, którzy przeszukiwali śmieci, i pożerały ich. Chodził wraz z innymi zbierać zmarłych. Uczestniczył w kopaniu masowych grobów, co stawało się łatwiejsze, bo nie trzeba było zasadzać szpadla w gliniastej i twardej ziemi, wystarczyło nabrać piasek na łopatę, jakbyś przesuwiał wydmy z jednej strony na drugą. Czynność trudniejsza jednak, jeśli zważymy, że groby należało kopać znacznie głębsze, w przeciwnym razie warstwy piasku przykrywające groby zostałyby rozwiane przez wiatr, przenoszone tu i tam, jak jakiejś wieka, odkrywając zmarłych. Nikt nie modlił się nad masowymi grobami. Chowano w nich szczególnie nowych zmarłych. Od konwojów prowadzonych w odległe miejsca, gdzie łatwo było je osaczyć i wyrznąć, i od obozów koncentracyjnych po śmierć przez zastrzelenie, zagłodzenie, zanurzenie w lodowatej wodzie lub spalenie żywcem umierających,

wszystkie te środki wykorzystywane do zabijania Ormian na drogach Anatolii, od Konstantynopola po Deir ez-Zor i Mosul, zostały użyte później przez nazistów przeciwko Żydom. Z tą tylko różnicą, że w obozach nazistowskich więźniowie nosili numery i to makabryczne odliczanie przydało potworności zbrodni popełnianych na ludności żydowskiej. Zmarłych w wyniku działań mających na celu zagładę narodu ormiańskiego nie jest więcej, jeśli między takimi zbrodniami można w ogóle robić porównania, ale są niepoliczeni. Nazwiska, które znamy, należą głównie do oprawców, gubernatorów, komendantów obozów, paszów, bejów, agów i czauszów. Ofiary rzadko noszą nazwiska. Nigdy jeszcze śmierć, zrzucając krąg po kręgu, swoje szaty, nie była bliżej swojej istoty, nigdy śmierć nie była bardziej nienazwana.

Jeszcze nie utrwalono tradycji związanej z masowymi grobami. W jaki sposób należy kopać dół, w jaki sposób należy umieszczać zmarłych, czy na samym dole mężczyzn, potem kobiety, a na wierzchu dzieci, jak ich obmywać, jak przyodziać, jakie modlitwy powinien zmówić kapłan i o jakim odpoczywaniu na tamtym świecie mówić, jaki krzyż postawić, ile ramion powinien mieć ten krzyż i co powinno być na nim napisane. Nic z tych rzeczy. Każdy masowy grób rządzi się własnymi prawami, a ich jedyną wspólną cechą jest pośpiech, z jakim je wykopano. To odrzuca ideę zakorzenienia w obrządku, ponieważ nie istnieje tradycja pośpiechu.

Groby mają wypisane nazwiska zmarłych i są ozdabiane, aby ci, których w nich pochowano, nie zostali całkowicie zapomniani. Masowe groby istnieją po to, by wrzuconych do nich ludzi zapomnieć jak najszybciej. Masowe groby są najbardziej zawinioną częścią historii. Z tej nienazwanej istoty śmierci nakreśliłem siedem kręgów z centrum w Deir ez-Zor. W przestrzeni, którą obejmują, największy obwód przechodzi przez Mamura, Diyarbekir i Mosul, zginęło wtedy ponad milion osób, około dwie trzecie wszystkich umarłych podczas ludobójstwa Ormian. Wiemy, że oni tam byli i że spośród tych, którzy weszli w kręgi śmierci, którzy nie zostali zislamizowani, sprzedani jako niewolnicy lub oddani do haremów, prawie nikt nie ocalał. Każdy mógł umrzeć gdziekolwiek. Nie istnieje na tym świecie rodzina ormiańska nie mająca jakiegoś krewnego, który przepadł, jak w wirze rzeki, w kręgach śmierci. Możesz zatem modlić się nad każdym masowym grobem z myślą o tym, że jest w nim jakiś członek twojej rodziny. Rupen wiedział, że robi dobrze. Śmierć była ujściem dla upokarzającej sytuacji żywych, a masowe groby były ujściem dla krępującej sytuacji umarłych. Ale był jeszcze jeden powód, dla którego Krikor Ankut wraz z silnymi mężczyznami postanowił przyspieszyć wyciągnięcie martwych z

namiotów i kopanie masowych grobów. Kilka dni wcześniej wyciągnęli z namiotu, w którym mieszkała liczna rodzina, zmarłego bez twarzy. Patrzyli długo na trupa z nadjedzonymi policzkami, jakby pogryzły go szczury. Ale w obozie nie było nor, nie było więc szczurów. Wszyscy zrozumieli, ale nikt nie powiedział ani słowa, nie złożyli żadnej przysięgi milczenia, czując, że nikt nie byłby w stanie opowiadać o czymś tak okropnym. Gdy podobne oznaki stały się coraz liczniejsze, mężczyźni postanowili sami przeszukiwać namioty rano i wieczorem, tak aby żaden trup nie pozostawał w namiocie zbyt długo. Z Aleppo wysłano do Rakka i Sebka nowe garnizony. Żołnierze i żandarmi trzymali się z dala od obozu. Obóz nie był trudny do nadzorowania. Jego północną granicę stanowił brzeg Eufratu, a przez rzekę z trudem mógłby się ktokolwiek przeprawić, nawet mężczyzna w pełni sił. Po lewej i prawej stronie rozciągały się rozległe równiny, gdzie nie było sposobności się ukryć, na południu zaś była pustynia. I rzeczywiście, z wyjątkiem małych kurierów niewielu zdołało uciec, wmieszawszy się w pstrokaty tłum ludzi na jarmarkach w Rakka, skąd obierali drogę przeciwną do kierunku konwojów, czyli do Bab i Mamura, lub na północ do Urfy. Żołnierze nie strzegli wyłącznie ludzi. Pilnowali też dzikich zwierząt, a nawet ptaków. Strach przed zarazami pustoszącymi konwoje deportowanych był wielki wśród mieszkańców Rakka i plemion beduińskich. To dlatego gubernator z Aleppo zakazał zbliżania się do obozu grabarzom spoza konwojów, a wozy wysyłane do obozu były zostawiane deportowanym. I w końcu tam, gdzie deportowani sami nie ubili koni, aby je zjeść, zwierzęta rozstrzeliwano, aby nie roznosiły żadnych chorób, które po tym, jak szalały bezkarnie, nasiliły się i stały nieuleczalne.

Tak jak stali i patrzyli na namioty, polerując sobie buty, czesząc zgrzebłem konie lub czyszcząc broń, żołnierze, w nowych mundurach, wyglądali jak wyszykowani do parady. Nie widywali twarzy deportowanych, albo dlatego że byli daleko, albo dlatego że wtedy, gdy zbliżali się do nich, aby rozrzucić żywność z darów, przejeżdżali pędem na koniach, albo dlatego że to i tak nie miało żadnego znaczenia. Skądinąd to uczucie było odwzajemnione. Dla deportowanych wszyscy żołnierze mieli taką samą twarz, dla żołnierzy zaś, odkąd otrzymali rozkaz, by brać na cel bezwzględnie każdego, kto próbowałby wyjść z szóstego kręgu, czy to człowiek, zwierzę czy ptak, deportowani byli pozbawieni twarzy, a nawet ludzkich cech. Podczas gdy deportowani czuli się coraz bardziej wyczerpani po miesiącach zmęczenia i głodu, żołnierze byli coraz bardziej wypoczęci, bo deportowani byli coraz łatwiejsi do upilnowania, a ich odpoczynki coraz częstsze. Tę niezgodność potęgował

fakt, że w miarę jak deportowani byli coraz bardziej obnażeni i obdarci, mundury żołnierzy odnawiały się, były coraz bardziej błyszczące, a konie coraz bardziej przystrojone. Mężczyźni tak się zorganizowali, żeby zabierać zmarłych jak najprędzej. Nadejście nowego konwoju z Abuhahar i Hamam natychmiast poszerzyło sieć osób do zbierania nieboszczyków. Pracowano w rytmie śmierci. Ale miało to fatalne konsekwencje, z jednej strony śmierć, widząc, że została zwyciężona, przyspieszyła tempo. Z drugiej dało to żołnierzom do myślenia, zrozumieli, że w obozie w Sebka ludzie zaczęli podporządkowywać się innemu prawu niż prawo śmierci, a kto ma odwagę jej się przeciwstawić, może przeciwstawić się komukolwiek na tym świecie. Wtedy przyspieszyli wyjście konwojów w kierunku Deir ez-Zor, aby zaburzyć porządek. Obóz w Sebka sam przeorganizował swoje grupy do zbierania zmarłych; tworzyły się ponownie przede wszystkim ze strachu, strachu nie przed śmiercią, lecz przed sobą samym.

Ta zdolność do organizowania się, tak nietypowa dla obozu obszarpanych i niemal konających ludzi, mogła być tolerowana w Sebka, gdzie było zaledwie kilka tysięcy namiotów, ale mogła stać się niebezpieczna w Deir ez-Zor, w środku siódmego kręgu, gdzie deportowani liczyli dziesiątki tysięcy. W związku z tym pewnego ranka dowódca zażądał, aby wszyscy mężczyźni w wieku od piętnastu do sześćdziesięciu lat zgromadzili się na krańcu obozu. Mieli zostać wysłani do pracy przy nasypie. I oczywiście otrzymać jedzenie i wodę do picia. Wychodzili spomiędzy namiotów i niektórzy myśleli, że skoro wysyłają ich do pracy, to znaczy, że są potrzebni i wskutek tego zostaną oszczędzeni. Inni wychodzili z wahaniem i to dopiero wtedy, gdy czausze zagrozili, że zaczną wjeżdżać po nich konno do namiotów. Inni, jak Rupen, dołączali do grupy z obojętnością. Od kiedy stał się myśliwym aniołów, nie martwiąc się zbyt o kolor, lecz o ich żylaste ciało pod piórami, Rupen nosił wewnątrz pustkę, żył tylko po to, aby bronić swoich dzieci. To właśnie dlatego, kiedy Sahag pospieszył za nim, sądząc, że mając czternaście lat mógłby zostać przyjęty do grona mężczyzn, Rupen powstrzymał go i spoliczkował dwa razy, co oszołomiło chłopca, ale też stłumiło jego zapał. Niektórzy jednak uparli się, by pozostać w ukryciu. Jak mąż kobiety w pobliskim namiocie, z którą się zaprzyjaźnili. Razem tworzyli jedność i dlatego każde z nich, mężczyzna i kobieta, mogło przybierać postać drugiego. Dość wysoka, o wąskich biodrach i drobnych piersiach, kobieta, odziana w męskie ubranie, podczas formowania konwojów nie zwracała uwagi żołnierzy i z powodzeniem ukrywała się przed poszukiwaczami

kobiet. A mężczyzna, szczupły, bez zarostu na twarzy, z włosami, które stały się długie w tym dzikim stanie, przebrał się za kobietę, czekając z sercem w gardle na kontrolę namiotów. Ale nic takiego się nie stało. W chwili gdy mężczyźni zostali ustawieni w kolumnach i policzeni, uznano, że pięćset to zadowalająca liczba, i wydano rozkaz do wymarszu. W każdym razie męska część konwoju zmałała. W trakcie podróży do Deir ez-Zor mężczyźni byli głównym celem napadów. W niektórych miejscach nawet, aby uniknąć pomyłek, konwoje były od samego początku rozdzielane na mężczyzn i kobiety, mężczyźni ginęli w drodze podczas zasadzek band rozbójników albo bezpośrednio z rąk pilnujących ich żołnierzy. Konwoje więc składały się w większości z kobiet, dzieci i starców, ci ostatni prawie wszyscy zginęli w drodze, nie mogąc dotrzymać kroku w marszu do Sebka. Niektóre konwoje, zwłaszcza te przybywające od zachodu, przebyły prawie tysiąc kilometrów.

Tych kilka ojcowskich policzków, wymierzonych nie z gniewu, lecz z desperacji, były ostatnim wspomnieniem Sahaga o ojcu Rupenie Şeitanianie. Mężczyźni zostali wyprowadzili na południe, w kierunku Pustyni Syryjskiej, i rozstrzelani. Znow powróciła wszechmocna śmierć, rozpostarłszy się niczym zielony jedwab, który zebrał się nad obozem. Gdy konwój, do którego dołączyła Hermine i jej dwoje dzieci oraz para zakochanych, ruszył w drogę, wiosna dobiegała końca. Wody Eufratu uspokoiły się trochę i stały się przejrzystsze. Gdy wilajety wokół obu źródeł i wzdłuż odnóg Eufratu zostały już ogołoczone z Ormian, trupy w rzece były coraz rzadsze, a nowe nie zastępowały tych, które zostały zjedzone przez ryby, pochłonięte przez wiry lub zaczepione o brzeg. Jak każdy grób Eufrat się zamknął i zrobił miejsce dla życia. Prawdopodobnie gdyby droga z Meskene w kierunku Deir ez-Zor przebiegała inną trasą, deportowani już dawno pomarliiby z pragnienia, zwłaszcza z chwilą nastania upałów. A tak, rzeka, która długo mieszała martwą wodę z żywą, oferowała im teraz swoje przejrzyste fale. I pozostało już tak przez całą drogę do Deir ez-Zor, gdzie Eufrat zostawiał konwoje w rękach losu, podążając w dół na spotkanie z Tygrysem.

DEIR EZ-ZOR. OSTATNI KRĄG. Konwój składał się z mglistych postaci. Zdawali się lekuchni na wietrze, jak stado spadających ptaków, a nie szereg ludzi. Zdjęcia zrobione przez zagranicznych podróżnych, którym udało się zbliżyć do konwojów lub sfotografować w końcu tych, którzy opadli z sił na obrzeżach drogi, czekając na śmierć, ukazują nam na drodze do Deir ez-Zor szczególnie dzieci. Droga do

síódmego kręgu był rodzajem krucjaty dziecięcej. Podzieliła los wszystkich nieuzbrojonych krucjat. Dzieci z tych fotografii są szkieletowate, ich tułów jest skurczony, z wklęślym brzuchem, z żebrami wystającymi nad jamą brzuszną jak jakieś stalowe łuki, z wychudzonymi rękami i nogami jak gałázki, o nieproporcjonalnie wielkich głowach, podobnie oczodołach, gdzie gałki wychodzą z orbit lub zapadają się w tył głowy. Dzieci patrzą błędnym wzrokiem, bez żadnego wyrazu na twarzy, patrzą, jakby z innego świata, nie wyciągają rąk, o nic nie proszą. W ich oczach nie ma nienawiści, żyły zbyt krótko, aby zrozumieć i potępić. Nie ma błagania, bo zapomniały co to głód, nie ma smutku, bo nie doświadczyły radości dzieciństwa, nie ma zapomnienia, ponieważ nie mają wspomnień. W ich oczach nie ma nic. Nicość, na wpół otwarte okienko na tamten świat. Kobieta, która upadała, skazywała na śmierć także swoje dziecko. Najczęściej pozostawało przy matce i razem czekali na śmierć. Hermine zauważyła z przerażeniem rumień tyfusu na policzkach córeczki. W niedługim czasie, z powodu upału, plamy powiększyły się. Hermine szła naprzód, ściskając córkę w ramionach i płacząc. Sahag chciał jej pomóc, ale matka nie pozwalała mu się zbliżyć, aby się nie zaraził. Ona też go już nie dotykała, badała go tylko spojrzeniem, pogrążonego we śnie, szukając ze ściśniętym sercem śladów choroby. Niekiedy myślała, przerażona, że je zauważyła. Innym razem wzdychała z ulgą, że to tylko drobiny kurzu, które zwilżone potem, przybierały kolor zaschniętej krwi. Powstrzymała się od przytulania go, gdy spał, głaskała tylko córeczkę, nie martwiąc się o to, że też może zachorować, a nawet robiła to celowo, ponieważ myślała o tym, by pozwolić jej odejść samej na tamten świat, przerażała Hermine która nie wiedząc, jak uleczyć dziecinę, modliła się, aby umarli razem.

Droga z Sebki do Deir ez-Zor była najdłuższa i najstraszliwsza ze wszystkich. Prawie sto kilometrów marszu. Upał drażnił nawet jadących konno żołnierzy, którzy drzemali w siodłach obok konwojów, wlokących się z podeszwami stóp spalonymi przez piasek, postanowili więc przemieszczać się nocą, w ciągu dnia zaś siadali na brzegu, gdzie od strony rzeki dochodził orzeźwiający podmuch wiatru. Nieliczni mężczyźni, którzy jeszcze pozostali, improwizowali namioty, by schronić się przed uniestwiającym upałem. Niektórych we śnie ogarniało szaleństwo, drżeli, szamotali się i czasami ktoś musiał ich zdrowo uderzyć, by się obudzili i nie udusili podczas snu. Inni tracili rozum w stanie przytomności i wyruszali na oślep, ale ich droga kończyła się szybko, tracąc bowiem umiejętność wystrzegania się kul, padali dosięgnięci jedną z nich. Były to konwoje bez cienia. W ciągu dnia rozłożeni na ziemi

nie zostawiali cienia albo tam, gdzie skrawek cienia przenikał, owijali się nim jak prześcieradłem. Cienie przyklejały się do ciała jak pot. W nocy, idąc niepewnie, potykając się o kamienie lub wpadając do rowów na obrzeżach drogi, stawali się własnymi cieniami. Ludzie byli tak osłabieni, że nie mieli nawet siły, aby rzucać cień i ciągnąć go za sobą jak niewód. Konwoje bez cienia potrzebowały prawie dwóch tygodni, aby dotrzeć z Sebki do Deir ez-Zor. Obóz znajdował się na prawym brzegu Eufratu. Tym razem namioty można było liczyć w dziesiątkach tysięcy. Deir ez-Zor był ostatnim centrum, wysuniętym na wschód, gdzie jeszcze organizowało się takie obozy. Z Deir ez-Zor nie było już tranzytu do tego świata.

To dlatego deportowani nie dostawali już nic do jedzenia. Jako że roślinność występowała rzadko, a mężczyźni, którzy mogli zapolować na pustynne zwierzęta przyciągane zapachem zwłok, było zbyt mało, głód stał się nie do zniesienia. Ciała były tak wyczerpane, że choroby rozprzestrzeniały się bardzo powoli, bo organizm nie miał nawet na tyle siły, aby je nosić w sobie. Chorzy na tyfus nie dostawali już gorączki, bo nie wytwarzali przeciwciał. Wobec głodu wszystkie inne choroby wycofały się, pozwalając, by nadgryzał brzuchy, ściągał skórę z kości i wysuszał wnętrzności. Incydenty zdarzały się coraz rzadziej. Po tym jak kierownictwo obozu odkryło grupę zgromadzoną wokół Levona Şaşiana, która zorganizowała nie tylko żywe dzienniki, przenoszone na plecach sierot z jednego obozu do drugiego, lecz także system zaopatrzenia w leki i żywność, ile tylko się dało i według takiego samego systemu jak w obozie w Sebka, oraz zespoły, którym się udawało chować ciała w rytm śmierci, więc gdy to wszystko się wydało, Levon Şaşian został wyciągnięty z obozowiska i brutalnie zamordowany przez samego Zeki Paszę, kierownika obozu. Wszelkie formy obozowej organizacji wewnętrznej zostały stłumiona i tym sposobem, w ocenie żołnierzy, zniknęło niebezpieczeństwo buntu, obóz zaś pogrążył się w stanie letargu. Obawa wojska przed buntem wydawała się, być może, nieuzasadniona, ponieważ żołnierze byli dobrze wyposażeni, wypoczęci aż do znudzenia i uzbrojeni po zęby, podczas gdy deportowani byli coraz bardziej szkieletowaci, obszarpani i coraz bardziej chwiejni z odurzenia śmiercią. Ale żołnierze naprawdę się ich obawiali, podobnie jak władze w Aleppo i Deir ez-Zor. Żołnierzy nauczono walczyć z innymi żołnierzami, a ich broń została wykonana tak, aby siać postrach wśród wrogów, którzy obawiają się śmierci. Nie wynaleziono jeszcze takiej broni, która napawałaby strachem niebojących się niczego. Wyczerpani i udręczeni głodem deportowani nie byli świadomi, że właśnie

pogodzenie się ze śmiercią stanowi ich siłę budzącą trwogę. Choć siła biorąca się z braku strachu przed śmiercią wzrastała z każdym nowym kręgiem, droga przez te siedem kręgów śmierci nie prowadziła do buntu. Droga konwojów oznaczała raczej oczekiwanie na śmierć. Śmierć, błakając się po obozie, stała się jednym z nich, była jedną z ofiar kręgów z Deir ez-Zor. A na zewnątrz przenikała zaledwie w postaci głuchego pomruku. Niemiecki podróżnik, który zdołał przyjrzeć się z bliska deportowanym w Deir ez-Zor, doznał głębokiego szoku nie tyle z powodu oczywistych rzeczy widocznych na zdjęciach w całej swej potworności, ile z powodu jednego szczegółu – nie zobaczył w tym strasznym miejscu ludzi płaczących. Albo ściślej mówiąc, nie zobaczył tego, co zwykle rozumie się pod pojęciem człowieka, który płacze, to znaczy, nie zobaczył łez. Nie jest jednak prawdą, że ludzie nie płakali. Tylko że płakali inaczej. Ci, którzy mieli jeszcze siłę, by siedzieć, kołysali się, inni płakali z oczami szeroko otwartymi w stronę nieba. Ale płacz był czymś w rodzaju nieprzerwanego jęku, niskim głosem, który, powtarzany przez tysiące klatek piersiowych, brzmiał jak *ison*. Płacz nie był strugą na twarzy, ale dźwiękiem. Gdy ten wibrujący *ison*, dobywający się bez końca i dostosowany do otaczającego go świata, zaczął rozbrzmiewać w tym samym tonie co wycie wiatru pośród wydm lub szum fal Eufratu, płacz nie ustawał ani na chwilę, aż do momentu, gdy ostatnie konwoje z Deir ez-Zor zaprowadzono na płaskowzgórza, gdzie wymordowano deportowanych. Ten suchy płacz zastępował modlitwę i przekleństwo, i ciszę, i świadectwo, a innym zastępował nawet sen. Wielu spało, płacząc w ten sposób, inni umierali płacząc i płacz wibrował jeszcze w zeszywniałej klatce piersiowej jak w rurze organów. Słyszałem ten płacz wtedy, gdy dziadek Setrak kołysał się w fotelu w ogrodzie i mruczał, oraz gdy dziadek Garabet zamykał się w swoim pokoju i przestawał grać na skrzypcach. Początkowo jękliwy płacz drażnił żołnierzy, zwłaszcza że powtarzany przez fale i wiatr, zdawał się pochodzić zewsząd. Potem się przyzwyczaili, *ison* był pewniejszy niż jakikolwiek wartownik, tak długo, jak płynął w równym tonie, oznaczało, że nie dzieje się nic niezwykłego. Ustałby, mówili żołnierze, gdyby ludzie znaleźli inne zajęcie niż umieranie i oplakiwanie swoich umarłych. Deportowani, oprócz przypadków obłędu, które kończyły się zazwyczaj kulą w pierś, nie buntowali się. Co do umierania, nie umierali wcale tak szybko, ponieważ wydaje się, że śmierć, żyjąc tak długo wśród deportowanych, pokochała ich. Choć obozy zlikwidowano po kilku miesiącach, a tymczasem prawie wszyscy deportowani zostali zamordowani, *ison* nadal rozbrzmiewał w Deir ez-Zor. Wtedy jednak, z uszami nadstawionymi na

ten dźwięk, który wykrawał koryto większe niż Eufrat, tureccy żołnierze nie troszczyli się zbytnio o nadzór nad obozem. Od południa i wschodu nie było potrzeby pilnowania, bo tam rozciągała się pustynia. Ktokolwiek próbowałby uciekać w tamtym kierunku, nie miał żadnych szans na przeżycie. Eufrat, który wyznaczał granicę obozu, także nie dawał żadnej nadziei. Przez jakiś czas Deir ez-Zor był miejscem docelowym wszystkich konwojów, choć władze nie zdecydowały, co nastąpi dalej. Prawdopodobnie spodziewano się, że na tamtych drogach konwoje stopniowo znikną i Deir ez-Zor stanie się czymś w rodzaju lazaretu, gdzie ci, którzy by jednak dotarli, prędko umrą, rodzajem *hastahane*, jak te znajdujące się w Tefridje i Lale. Pomimo tych wszystkich możliwości, które obficie im oferowano, kilkaset tysięcy deportowanych upierało się, by żyć. Lub po prostu zapomniało umrzeć. Obóz stawał się coraz bardziej zatłoczony i coraz trudniej było go opanować, mniej ze względu na ludzi, raczej z powodu tego, co spadało na nich lub co oni powodowali, a mianowicie choroby i wyziewy. A że władze w stolicy Imperium pragnęły szybkiego i ostatecznego rozwiązania kwestii ormiańskiej, Deir ez-Zor przemienił się z miejsca docelowego w stację tranzytu. Nie był to jednak tranzyt pomiędzy dwoma obozami, lecz tranzyt między dwoma światami.

Spośród wszystkich cierpień silniejszy od chorób czy bólu okazał się głód. Pozbawieni wszelkich źródeł żywności, pozostawieni na łasce przypadkowo zdobywanego pożywienia, od traw, cierpkich owoców lub dzikiego miodu, po padlinę zwierząt, obóz Deir ez-Zor przeszedł w stan halucynacji. Szkieletowate ciała chodziły do Eufratu, by napić się wody, chwiejnym krokiem, siadały następnie z w pełnym słońcu, kołyszac się i jęcząc, jakby żywiły się światłem, jak rośliny. Niektórzy, tracąc poczucie sensu wszelkich innych rzeczy i odczuć niż głód, wsadzali do ust wszystko, co tylko wpadło im w ręce, gryźli korę drzew, ssali szmaty nasączone słonym smakiem potu lub fekaliiów, które wskutek głodu były twarde i małe jak odchody kóz. Po zamordowaniu Levona Şaşiana i osób, które pracując przy kopaniu masowych grobów, próbowały uchronić umarłych, ponownie zaczęto ociągać się z wynoszeniem trupów z namiotów. Znowu zdarzali się umarli bez twarzy, bez ręki lub nogi. Ci, którzy raz na kilka dni przechodzili wokół namiotów, by wyciągnąć rozszarpane lub rozkładające się ciała, już nie drżeli. Niektórzy robili to rozmyślnie, z myśliwych polujących na kruki lub hieny stali się myśliwymi polującymi na umarłych. Dlatego ludzie z namiotów przyglądali im się uważnie i nie powierzali swoich zmarłych komuś przypadkowemu. Nawet wtedy zadanie okazywało się niełatwe. Było coraz trudniej

odróżnić żywych od umarłych. Żywi leżeli przez wiele godzin w bezruchu, często zasypiając z rozwartymi powiekami, ślepnąc z powodu upalnego słońca, które wypalało im białka oczu. Umarli zaś niekiedy podskakiwali z powodu dużych różnic temperatur między dniem i nocą, wtedy, gdy stawy miękkły w słońcu lub, wprost przeciwnie, kurczyły się od nocnego mrozu. Tak więc zaczęto zbierać zmarłych przypadkowo i niektórzy wracali jeszcze z nad skraju grobu, obudzeni stęknieniem upadku na innych. Na dany sygnał konwoje zaczynały się tworzyć ponownie. Część została skierowana na wschód, w kierunku Marat i Souvar. Inni poszli na zachód, drogą do Damaszku. W obu przypadkach rozwiązanie było takie samo. Jak tylko przybyli na płaskowyż, który awangarda uznawała za odpowiednie miejsce, żołnierze oddalali się, a następnie okrążali konwój i strzelali z karabinów ze wszystkich stron. Gdy nikt już nie stał na nogach, wbijali bagnety w lufy karabinów, wyciągali jatagany i szlachtowali ciała. W ten oto sposób, czego nie dosięgła kula, dopełniło ostrze. Konwoje liczyły od trzystu do pięciuset dusz. Ich los był za każdym razem taki sam, z tą tylko różnicą, że niekiedy żołnierze powierzali to zadanie Beduinom, zadowolając się tylko sprawdzeniem na końcu i upewnieniem się, że praca została dobrze wykonana. Hermine, z córeczką w ramionach, oczekiwała na śmierć. Dziewczynką coraz częściej targały dreszcze, nocą Hermine kładła się nad nią, próbując ją rozgrzać. Sahagowi udało się przynieść garść zielonych daktyli, a raz nawet owoc granatu, który spadł z siodła jakiegoś żołnierza. Jedli, jedno po drugim, słodko-kwaśne ziarna, trzymając je długo pod językiem. W drugim namiocie dwoje zakochanych cierpiało głód bez możliwości poszukiwania jedzenia, ponieważ kobieta nie pozwalała mężowi pod żadnym pozorem opuszczać namiotu, z obawy, że żołnierze ujrzą go i zabiją. Wydawało się, że żywią się jedno przez drugiego; spleceni razem wytrzymywali w ten sposób. Aż do pewnego wieczoru, kiedy wraz z nadejściem zimna, wyrwali się ze swojego uścisku i wstali. Zdjęli z siebie ubrania i kobieta podała je Hermine. „Okryj nimi dziecko. Trzęsie się z zimna”. Byli zupełnie nadzy. Hermine patrzyła na nich z niewymownym zdumieniem, nie z powodu ich nagości, która jak wszystko, co mogło przytrafić się ciału, nie była w obozie niczym niezwykłym. Byli natomiast nad wyraz piękni. Mieli niespotykane światło w oczach, ich gładkie włosy lśniły wokół czoła, ciała mieli przytłaczająco białe, biodra kobiety zaokrągliły się, piersi nabrały krągłości, mięśnie mężczyzny zaś oplotły się i naprężyły wokół kości. Światło skropiło się na ich ramionach i ciała nie rzucały cienia. „Przyszliśmy się pożegnać” – powiedział mężczyzna, ale wydawało się, że

jego usta się nie poruszyły. Potem wziął kobietę za rękę i odeszli, ich sylwetki pozostały przez długi czas widoczne, być może ze względu na kontur światła, które biło z ich ciał. Były tak świetliste i tak beztroskie, że zdawały się płynąć ponad piaskami. Hermine i Sahag czekali, nadstawiając uszu, na dźwięk strzałów. Ale nic takiego się nie stało, nawet po zmroku, który okrył gliną i woskiem ich ciała. Pozostał po nich tylko nieokreślony zapach, podobnie jak dym niektórych kadzideł z mirry lub ambry. „Udało im się” – szepnęła Hermine. „Pojdę zawołać ich z powrotem – powiedział Sahag. – Tam jest pustynia, umrą. Nikt nie wrócił stamtąd żywy”. Hermine skinęła, by usiadł i podeszła do niego. „Zostaw ich... Są piękni i bezgrzeszni. Nadal myślę, że Rupen ma rację”. Mówiła o swoim mężu w czasie teraźniejszym jak o kimś, kto wyjechał i wróci, chociaż w tamtym czasie Rupen był już dawno martwy wraz z pozostałymi mężczyznami z konwoju z Sebka. „Rupen ma rację. Bóg umarł. Pozwól im iść przed siebie. Tu, gdzie widziałeś ich po raz ostatni, na końcu obozu Deir ez-Zor jest granica ogrodu Edenu. Brama raju jest tylko dwa kroki stąd. Wróciliśmy tam, skąd wyruszyliśmy na początku początków. Ale tymczasem świat uległ całkowitemu zepsuciu. Być może oni stworzą świat na nowo i stworzą innego Boga”.

Sahag patrzył w ciemność, gdzie zbliżone do siebie ciała mężczyzny i kobiety zamigotały jeszcze raz przed jego oczami, a potem zgasły. I nagle chłodny powiew wiatru uderzył czoło chłopca, orzeźwiający i szeleszczący. Jakby na drodze tych dwojga rozstał się piasek, pozwalając, by wzeszły wszelkiego rodzaju drzewa cieszące oko. Dwa ramiona dużo większej rzeki łączyły się przed nimi: Tygrys i Eufrat. A mężczyzna, wchodząc do ogrodu zalanego tymi wodami, zostawiał za sobą swój lud, ojca swego i matkę swoją, przylgnął do swojej żony i stali się jednym ciałem. Ale tu, pośród ludzi, w miarę jak konwoje – za każdym razem kilkaset osób – były prowadzone na płaskowzgórza, które przekształcono w miejsca egzekucji, w kierunku Souvar lub w drodze do Damaszku, inne konwoje nadchodziły z zachodu, zstępując do ostatniego kręgu śmierci. W lipcu 1916 roku tłumy rozstawały się, tłumy się zbliżały, i pomimo tego ciągłego ruchu obóz z Deir ez-Zor pozostał taki sam, jak nieruchomy. Pobliskie ziemie zapełniły się szczątkami zmarłych. Ostatnia granica została przekroczona. Żywi ofiarowywali się umarłym, czyniąc z ich pochówku jedyne zajęcie, jakie jeszcze mieli. Martwi ofiarowywali się żywym, ogrzewając ich, jak jakieś ubrania, podczas mroźnych nocy i służąc tym, którzy oszaleli z głodu, za komunię.

Hermine patrzyła błędnym wzrokiem na swoją córkę. Spiekota lata, wyciągająca ostatnie krople wody, które jeszcze zatrzymywały w ciele sole, zaczęła zabijać ludzi, wysuszając ich. Żywi i umarli, którzy przypominali sobie nawzajem przez drgawki, wstrząsające od czasu do czasu ich ciałami, zaczęli teraz stawać się podobni także przez ciemny i suchy kolor policzków. Licząc według tempa, w jakim następowały po sobie egzekucje, można było przewidzieć, że obóz koncentracyjny miał zostać zamknięty jesienią tego samego roku. Nawet i bez egzekucji w warunkach przetrzymywania w Deir ez-Zor nikt nie przeżyłby do zimy. Tamtego lata umarli przede wszystkim dzieci. Wiele z nich pozostało niepochowane pomiędzy namiotami jak nagie kadłuby, zwinięte i poczerniałe. Hermine czekała niecierpliwie, by włączono ich do konwoju, żywiąc nadzieję, sama nie wiedziała na co, ale pragnąc z całego serca opuścić tamto miejsce. Dziewczynka, z nieruchomymi, otwartymi oczami, szeptała od czasu do czasu: „Jestem głodna!”. Gdy jej jęk stał się nieprzerwany, żałosny w chwili wydychania i świszczący, gdy nabierała powietrza w płuca, Hermine poszła na obchód namiotów. Wróciła po godzinie z pustymi rękami. „Nic ci nie dali, prawda?” – dopytywała dziewczynka słabym głosem. Matka przytaknęła głową, z pustką w oczach. „Ty też nic im nie daj, później, ode mnie...” – powiedziało dziecko, uśmiechając się smutno. Hermine zakryła ręką usta, tak poruszona, że zapomniała przegonić chłopca, gdy zbliżył się, by ją pogłaskać. Spojrzała na niego inaczej niż zwykle, a następnie chwyciła za nadgarstek. „Chodź!” – powiedziała nowym głosem. Wyciągnęła go z namiotu na skraj obozu, w górę rzeki, gdzie Arabowie przyprawiali napój zwierzęta. Stała obok syna nad brzegiem rzeki, modląc się, aby odbyło się to jak najszybciej. Arab, który zbliżył się, patrzył na nich bez łagodności, ale z ciekawością, zwłaszcza na chłopca. Jako że Hermine i jej syn mówili po turecku, mogli porozumieć się za pomocą tych kilku wspólnych słów, które Mahomet pozostawił im na obszarze swojej wiary. Ale nie było takiej potrzeby, bo dobrze wiedzieli, o co chodzi. Taka okoliczność powtarzała się tysiące razy na drodze konwojów lub na obrzeżach obozów. I by sprawa była jasna, Hermine wypuściła rękę Sahaga i wypchnęła go krok do przodu, trzymając dłoń na jego ramieniu, aby chłopak nie myślał uciekać. Pomimo swojej szczupłości Sahag nie wydawał się dotknięty chorobą i Arab na znak zgody wyciągnął woreczek z mąką i podał go kobiecie. Złapała go obiema rękami, a wtedy Sahag, gdy poczuł się wolny od jej uścisku, chciał uciekać. Ale Arab chwycił go w pasie i za kark, a potem wrzucił na konia jak sakwę. Wskoczył na miejsce tuż za nim i wydając okrzyk, oddalił się

galopem. Hermine długo pozostała przygwożdżona do miejsca. Wsadziła rękę do woreczka i wyjęła garść proszku, który wepchnęła do ust, aby zdławić wszelki krzyk.

Przez jakiś czas chłopiec leżał w innego rodzaju namiocie, znacznie większym, ozdobionym dywanami i niezrozumiałymi napisami na ścianach, gdzie mieszkali ludzie mówiący chrapliwym, szorstkim językiem, którzy patrzyli na niego obojętnie, ale przynosili mu po kolei jedzenie, ocierali pot z czoła i zmieniali prześcieradła. Kiedy nabrał wystarczająco sił, aby podróżować, wsadzono go na konia i udał się z nimi w kierunku pustyni, gdzie jedynymi zajęciami, wtedy gdy nie pilnowali karawany, było dogłądanie nocą ogniska, w którym skwierczał tłuszcz wielbłądzi, a za dnia poszukiwanie wody. Z tamtych dni Sahag zachował w pamięci tylko lamentacyjne modlitwy mężczyzn i białe ubranie, które otrzymał, ubranie, na którym ostry ból okaleczonego członka pozostawił ślady krwi. Nie rozumiał, dlaczego ten nowy męski ból wywołał uśmiech i zadowolenie na twarzach pozostałych. Wraz z tym nowym ubraniem, białym i splamionym krwią, otrzymał nowe imię, Yusuf, choć nikt go nie pytał, jakie było jego poprzednie imię. Co było dla niego korzystne, później bowiem, gdy go szukali, pnąc się do Urfy i Diyarbekir, nie znaleźli go, nie wiedząc, o kogo pytać.

Yusuf stał się pojętnym młodzieńcem. Nauczył się trzymać za uzdę wielbłądy i strzec ich przy wodopoju. Przyswoił sobie umiejętność jazdy konnej, przywykł do suchego pożywienia i pojął, czym jest cierpliwość wobec piaszczystych przestrzeni. Przyjął męskie ubranie, miał swojego konia, jedyne stworzenie, z którym mógł jeszcze rozmawiać po ormiańsku, i kulił się wraz z innymi, o wschodzie i zachodzie słońca, z twarzą zwróconą na wschód, bełkocząc coś, co przypominało modlitwę. Mógł zostać dobrym jeźdźcem pustyni, z ciałem zahartowanym już przez kręgi śmierci, z długimi rzęsami osłaniającymi oczy od piasku, śniadą twarzą, gotową stawić czoła silnym podmuchom wiatru, i czarnymi kręconymi włosami, doskonałą ochroną przed upałem. Fakt, że nie znał arabskiego, był korzystny. Nikt nie niepokoił go pytaniami, nie musiał opowiadać o sobie. Nie musiał modlić się do Proroka, który mu się ukazał, upuszczając jego krew, mógł zachować dla siebie Tego drugiego, który ukazał mu się, krwawiąc. Mógł być dobrym jeźdźcem tych przestrzeni i zostać pewnego dnia przywódcą własnego plemienia. Schodziłby zimą w stronę wybrzeża Morza Czerwonego, w pobliże Medyny i, co najmniej raz w życiu, do Mekki, potem wspinałby się przez Jerozolimę i Damaszek do miejsc, które tak dobrze znał, a nawet wyżej, w góry, do Ras-ul-Ayn i Mosulu. Yusuf pozostał jednak osamotniony, a

pozostali, zadowoleni, że jest zdolny, dali mu spokój i nie przeszkadzali w niezrozumiałych rozmowach, które prowadził ze swoim koniem. Yusuf wiódł tamto życie z pewnym zakłopotaniem. Wyjaśnienie przyszło do niego nagle, jak to bywa, gdy pytania są nieprecyzyjne. Przybyli do Mosulu. To był dobry dzień. Sprzedali kozi ser i skóry wielbłądzie. W namiocie było gorąco i cicho, pachniało pieczonym mięsem, ale zanim usiedli na poduszkach wokół ognia, liczyli złote monety, które wiązali w małe woreczki. Następnie kobiety podziwiała dary – bursztyn, tkaniny i biżuterię. A najpiękniejszą ozdobę właściciel namiotu zacisnął w dłoni i podarował, otwierając czarująco palce, najmłodszej ze swoich kobiet. Zawiesiła klejnot na szyi i odwróciła się, radosna, tańcząc wokół ogniska przy wysokich dźwiękach surm i w rytm tamburynów. Ogień trzaskał i skwierczał od kropli tłuszczu, twarze lśniły i wydłużały się wraz z płomieniami, rytm bębnów zrównał się z klaskaniem w dłonie, a kobieta kręciła się, niesiona swoją młodością i radością z ozdoby. Którą chłopiec ujrzał, gdy stanęła na wprost niego, kołysząc biodrami i potrząsając piersiami od nasady ramion. Ten talizman, zawieszony na złotym łańcuszku i noszony dumnie na wierzchu, chłopak przypomniał sobie wraz z nieśmiałym gestem matki, która ukrywała go pod ubraniem. Nikt nie zauważył, kiedy wyslizgnął się z namiotu. Jedyne, co mógł zrobić, wstrząśnięty, to biec przed siebie jak oszalały. Uciekał, sam nie wiedząc od kogo, biegł, aż zabrakło mu tchu i padł na kolana. A że czuł potrzebę wyjścia ze swojego ciała, wyrwania się, zaczął krzyczeć. Usiadł na piasku i kołysząc się, krzyczał ile sił w płucach. Gdy krzyk ustał, ustępując miejsca jękowi z Deir ez-Zor, suchemu płaczowi, Yusuf umarł. Był istotą nieszczęśliwą, obcą, milczącą, błąkającą się po miejscach, których nie znał, pośród bogów, w których nie wierzył. Urodzony z krwawienia i zgładzony krzykiem. Nie tak, jak to się zdarza, gdy jakieś ciało zabija inne ciało, przekuwając z zewnątrz do środka, Yusuf zginął przebity ze środka na zewnątrz, właśnie przez ciało, na które został nałożony, jak biała i zakrwawiona szata.

Rozebrawszy się z nowego ubrania, z Yusufem rzuconym u swych stóp jak niepotrzebna odzież, Sahag wrócił pomiędzy namioty. Tym razem, nie będąc już synem plemienia, przybył ukradkiem, ukrywając się w ciemności, omijając ogniska i wejścia do namiotów. Poszedł do zagrody dla zwierząt i powoli wyprowadził za uzdę swojego konia. Ich chód po piasku był cichy, koń podążał za nim, nie czując żadnej zmiany, słuchając go i węsząc, bo dla niego Yusuf nigdy nie istniał. Potem dało się słyszeć jego galop, ale wtedy koń i jeździec byli już daleko.

Obrał drogę na zachód, w kierunku odwrotnym do trasy konwojów; niestety, powrót przez kręgi śmierci, od Wielkanocy umarłych po Wielkanoc Zmartwychwstania, nie oznaczał też powrotu w czasie. Wręcz przeciwnie, wspinając się po stopniach, jeden po drugim, z głębokości, w którą wpadł jak do studni, znalazł tylko ślady konwojów, ludzi, którzy przeżyli zebrząc na poboczach dróg, nowe i przerażające nazwy nadane przepaściom, które miały na drobny pył szczątki ciał, dzieci z jego ludu, ubrane w szarawary, z Yusufami rosnącymi w ich kłatkach piersiowych niczym w gniazdach. Kilka razy chciał wrócić do namiotu, aby zabić Araba na oczach jego kobiet i dzieci i zabrać talizman matki. Potem wytłumaczył sobie, że nie ma w tym żadnej winy Araba, ten, kto zerwał łańcuszek z szyi jego matki, był w innym miejscu i należałoby prowadzić zbyt dużą wojnę, aby go znaleźć, lub należałoby zabić wszystkich jemu podobnych, aby mieć pewność, że zabójca jego matki też został ukarany. Arab okazał się ostatecznie jego dobroczyńcą i to nie była jego wina, że czasy tak nisko ceniły istotę ludzką, że Beduin oszacował życie chłopca na równi z woreczkiem mąki.

W Ras-ul-Ayn Sahag natknął się ponownie na linię kolejową, którą porzucił, wychodząc z napuchniętą i czerwoną twarzą z braku powietrza i wody z wagonu dla bydła, dwa lata wcześniej w Mamurze. Sprzedał konia i jechał dzień i noc, skulony w kącie wagonu, aż do Izmit. Wracając, nie znalazł już żadnego znaku, który wskazywałyby mu drogę. I wtedy przez pewien czas jego drogą była trasa pociągów i statków, które prowadziły go na zachód aż do Bazargic, a następnie do Silistry.

Tak długo jak uciekał, wspomnienia zostawiały go w spokoju. W końcu osiadł w Silistrze, został uczniem kupca, a potem otworzył własny sklep. Później zaczął szukać sobie żony, ale nim ją znalazł, zadawał się z dziewczynami czekającymi na żeglarzy w porcie. Woal Beduina, rzucony pewnego razu na podłogę jak chusta, ożył, zaczął syczeć jak wąż i ruszył śladami Sahaga. W ten sposób Sahag obudził się niespodziewanie pewnego wieczoru z twarzą Yusufa, w świetle lampy gazowej odbijającą się w lustrze. Spojrzał na niego, zaskoczony, jak tańczy do muzyki bębnow i surm, jak rozrywa swoje białe ubranie człowieka pustyni, jak trzyma w ręce i pociera swój członek, podskakując, z dzikim spojrzeniem, i jak dysząc, wytryskuje pomiędzy palcami nie nasieniem, lecz krwią. Sahag nie znalazł innego sposobu na odpędzenie tego widziadła, które skrapiało go swoim okropnym nasieniem, jak uchwycenie narzędzia i zabicie nim okna. Yusuf zaśmiał się, jego twarz rozbiła się, pomnożyła na tysiące innych twarzy i rozprysnęła po pokoju. Gdy oprzytomniał,

spojrzał na takiego siebie, z dzikością w twarzy, z ubraniem w nieładzie, z jeszcze twardym i okaleczonym członkiem w rękę. Zrozumiał, że Yusuf wszedł w niego i że rozbijając okno i zakrywając lustro nie zdoła zwalczyć tego półprzezroczystego oblicza. Sahag i Yusuf nienawidzili się, ale wiedzieli, że są zmuszeni żyć razem. Yusuf znosił pomnożone dziesięciokrotnie męki, którym był poddany Sahag, zmuszony kłaniać się innemu Zbawicielowi i nabożnie przestrzegać obrządków tej wiary. Zemścił się jednak na tym obcym mu narodzie w jedyny możliwy dla siebie sposób, to znaczy przez członka, który był znakiem jego urodzin, zatruwając mu nasienie. Związany z tym nasieniem, które na zawsze pozostało jałowe, które z upływem lat stawało się rzadsze i mniej obfite, Yusuf także stawał się mniej obecny. W moim dzieciństwie Sahag Şeitania był starcem. To dlatego nie poznałem Yusufa. Rozdarty na dwie części, przyzwyczajony, że każda jego połowa pilnuje i nienawidzi tej drugiej, czeka, aż ta druga zaśnie, by móc ją uderzyć, ale nieuchronnie zasypiając razem i rozdzielając się tak naprawdę tylko we śnie, gdyż te połowy nie mogły śnić w tym samym czasie, Sahag, w miarę jak druga połowa malała z chwilą, gdy on i jego żona, Armenuhi, pogodzili się, że nie mogą mieć dzieci, mając w zwyczaju nienawidzić i nie mogąc pomieścić całej tej nienawiści w zagłębieniach swojej przepołowionej duszy, zaczął nienawidzić innych. Przede wszystkim ludzi takich jak Yusuf. Ale ponieważ takich było w jego otoczeniu niewiele, a jego niespożytkowana nienawiść zgrzytała, jak kły dzikich zwierząt, które muszą rozszarpać, w przeciwnym razie rosną, dopóki nie przebiją własnej czaszki, Sahag przelał całą swą nienawiść na bolszewików. Nieoczekiwana okazja nadarzyła się po wojnie, kiedy w przeciwieństwie do okresu, gdy jedynym komunistą w Fokszanach był pijany badylarz, którego działalnością polityczną było przeklinanie 10 maja na całe gardło, płaczącym się językiem, dynastii i króla, dopóki władze nie nabrały rozumu i nie zaczęły zatrzymywać go wcześniej rano, nim wybudził się z pijaństwa poprzedniej nocy, po wojnie zatem miasto zapełniło się komunistami. Sahag zwykł nazywać ich grosistami, komunistami wielkich dróg. Komuniści odwdzięczali mu się za okazywaną im sympatię z typową dla nich hojnością, to znaczy okradając mu sklep, a potem, gdy nie było już co kraść, konfiskując mu wszystko. Sahag cieszył się za każdym razem: „Bierzcie! – krzyczał, wymachując rękami i podskakując na jednej nodze. – Kradnijcie!”. Rzucał za nimi paczkami kakao Van Houtena: „Zapomnieliście zabrać i to!”, lub woreczkami z kawą, której ziarna rozsypywały się po chodniku jak karaluchy.

To on wpadł na pomysł, aby zainstalować radio Telefunken w grobowcu

Seferiana, i chodził na cmentarz sam w nocy, by słuchać Radia Wolna Europa. Śledził chciwym spojrzeniem, latem 1958 roku, bataliony Armii Czerwonej, które znikwały na drodze do Tecuci, a później godzinami siedział nieruchomo, oglądając na dużym jak talerz ekranie telewizora pani Marii, naszej sąsiadki po drugiej stronie ulicy, transmitowany na żywo pochówek Gheorghego Gheorghiu-Deja, nie opuszczając żadnego szczegółu, łuskając nasiona słonecznika, popijając piwo i kibicując jak na stadionie. „Napromieniowali go Rosjanie – mówił, tym razem bez najmniejszego cienia wyrzutu pod ich adresem. – Wywołali u niego żółtaczkę!”.

I również Sahag Şeitanian jako pierwszy dał się skusić fascynacji map geograficznych. Wyrwani z miejsc swojego dzieciństwa, starzy Ormianie uciekli, wyemigrowali, przemierzyli pustynie, kontynenty, morza i oceany, ale nie podróżowali naprawdę. Przemierzanie świata było częścią ich smutków, a nie ciekawości lub radości. To dlatego stali się podróżnikami obszarów papierowych, tak jak zaleszczotki książkowe. Arkusze kartograficzne były jak przekrój rzeczywistego świata, otwierały nowy wymiar. Na tych mapach wojny zawsze kończyły się inaczej niż w rzeczywistości, fedaini w górach unicestwiali armie, więźniom udawało się uciec z obozów deportacyjnych, a wojownikom ująć z okrążenia. Amerykanie lądowali na Bałkanach, brytyjscy spadochroniarze zasnuwali niebo, Rosjanie wycofywali się w głąb Syberii. I oczywiście Armenia rozciągała się od Kaukazu do Tyru i Sydonu, od Anatolii po Urmie, jak za czasów Tigrana Wielkiego w ostatnim stuleciu przed Chrystusem. Świat był nakładanymi na siebie mapami, które pokrywały strzałki, znaczące miejsca lądowania, uwolnienia, przegonienia, retrocesji, chwały i triumfu. Spośród wszystkich map najmniejsze znaczenie miała, a tym samym przyciągała najmniej uwagi, mapa na samym dnie, rozłożona bezpośrednio na trawie, to znaczy rzeczywistość. Właśnie z tego powodu na jego mapach funkcjonowały inne traktaty, a wojny zakończyły się inaczej. Obowiązywał traktat z Sèvres. Spotkanie w Jałcie nie odbyło się, a celowo stępiony ołówek Stalina nie podzielił Europy. Sahag Şeitanian i pozostali Ormianie mojego dzieciństwa byli raczej ludźmi map, a nie ziemi. Niekiedy bywali tak obojętni, ze spojrzeniami zagubionymi w dali, że wydawało się, iż zawijali się razem z mapami i znikali z tego świata. W *Księdze szeptów* każdy smak, każdy kolor, każdy błysk szaleństwa ma swojego maga. Przewodnikiem po rozmaitych krajach, magiem map był Micael Noradunghian. Pozostali siedzieli wokół niego, obserwując szeroko otwartymi oczami, jak pod jego palcami rozplaszczają się kontynenty. Mój dziadek siedział cicho, z uczoną miną, nie

dowodził niczego innego, podobnie mapy, niż to, że poza chaosem czasów istnieje jednak jakiś sens. Anton Merzian zapominał zadawać pytania i przy mapach, gdzie było miejsce dla wszystkich, nie wdawał się już w kłótnie z Krikorem Minasianem. Ștefănuță Ibrăileanu, Măgârdici Ceslov, Agop Aslanian, Vrej Papazian, Ovanes Krikorian i wszyscy pozostali zbliżali się nieśmiało, pozwalając się prowadzić ku temu nowemu Betlejem, gdzie zbawienie miało postać mapy. Sahag Șeitanian oglądał wzruszony tamtą cudowność. To były jedyne chwile, kiedy z wybudzonym z odrętwienia wnętrzem godził się z Yusufem.